CZWARTEK Nr 116 85-09-26 Cena 8 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW





„Wszystkie sztuki walki, jakie istnieją pod niebem, narodziły się w klasztorze Shaolin" – głosi stare chińskie przysłowie. A zwolennicy różnych stylów wschodnich walk sportowych - od *judo* i *karate* w Japonii po *takewon-do* w Korei, skłonni są uważać ten klasztor w chińskiej prowincji Honan za swoją Mekkę. Dziś rozpoczynamy serię artykułów, które – mamy nadzieję - rozszerzą wiedzę Czytelników „Świata Młodych" dotyczącą ciągle fascynującego tematu: chińskich sztuk bojowych *wu-shu*. Pragniemy także przybliżyć Wam sekrety związane z Shaolin Si - „Klasztorem Młodego Lasu". Zaczynamy od skoku w bardzo daleką przeszłość!

ZIMA ZA PASEM – A MY ZAWIESZAMY
SKRZYNKI DLA PTAKÓW



Tak! Jesień jest najstosowniejszą porą, by zbudować i zawiesić skrzynki lęgowe dla ptaków. Wprawdzie ptaki zakładają w nich gniazda dopiero wiosną, ale przedtem niektóre — zwłaszcza sikory — chętnie tu sypiają w długie, zimowe noce. Sikory, nie znajdując skrzynek, zaszywają się w różne zakamarki, np. pionowe rury ogrodzeń, wywietrzniki itp. gdzie jednak nie zawsze są dość bezpieczne przed drapieżnikami, a przede wszystkim różnymi „dowcipnisiami". Wisząca na drzewie, w zacisznym miejscu skrzynka zapewnia dużo lepsze schronienie. Dziś wewnątrz numeru przeczytacie: ● jakie są wymiary skrzynek lęgowych dla różnych gatunków ptaków ● z jakiego materiału robić te skrzynki ● jakzabezpieczyć ptasie domki przed dzięciołami, które lubią je rozkuwać ● i sporo innych szczegółów zarówno na temat skrzynek, jak i jesienno-zimowego losu ptaków. Zapraszamy na str. 6. (**tok**)

Fot. T. **Kłosowski**

„... nie ma nic szlachetniejszego w dziełach człowieka od niesienia bezinteresownej i skutecznej pomocy dziecku. Zapewnienia im takich warunków życia, zdrowia, oświaty, wychowania, które gwarantują, ze planeta Ziemia pozostanie ludna i zasobna, będzie spokojna i szczęśliwa, będzie trwać wiecznie w otaczającym nas wszechświecie" — (wicemarszałek Sejmu prof. Zbigniew Gertych).

Zbudujmy dla nich lepszy świat!

„DZIECI NADE WSZYSTKO''

(Inf. wł.). UNICEF - specjalny fundusz Organizacji Narodów Zjednoczonych na rzecz dzieci. Powstał przed 40 laty z inicjatywy trzech lekarzy: Polaka - dr Ludwika Rajchmana, Amerykanina - dr. Maurice Pate i Francuza – prof. Roberta Debré. Niesie przez te wszystkie lata wszechstronną pomoc najbardziej jej potrzebującym - dzieciom świata, głównie z krajów rozwijających się, ale nie tylko. Ratuje ich życie i zdrowie, chroni przed głodem i skutkami działań wojennych, wciąż toczących się w wielu krajach i nie oszczędzających najmłodszych.

Po II wojnie światowej z pomocy UNICEF skorzystało w Europie ponad 30 mln dzieci - chorych, kalekich, głodnych, sierot. Ta akcja zyskała organizacji ogromny szacunek i autorytet w świecie. Jego wyrazem było przyznanie UNICEF w roku 1965 Pokojowej Nagrody Nobla.

2 września br., gdy polscy uczniowie po wakacjach powędrowali do szkół, w Sali Koncertowej Zamku Królewskiego około 100 gości z różnych państw, przedstawicieli narodowych komitetów współpracy z UNICEF, rozpoczęło czterodniowe spotkanie w Warszawie pod hasłem „Dzieci nade wszystko". Właśnie w Warszawie, stolicy kraju, w którym podczas wojny zginęło blisko 2 mln dzieci. Dyskutowano o dotychczasowych działaniach, ustalano plany UNICEF na najbliższą przyszłość. Ważne sprawy to nauka, ta podstawowa, w krajach afrykańskich, masowe szczepienia dzieci, mające na celu ich uodpornienie przeciwko groźnym chorobom itp. Najważniejsze zaś - ich szczęśliwe, beztroskie dzieciństwo, którego niezbędnym warunkiem jest pokój.

Urozmaiceniem obrad i dyskusji był koncert harcerskiego zespołu „Gawęda", który bardzo się gościom podobał. A w przerwie koncertu dwaj działacze UNICEF: dyrektor generalny James Grant i Joseph Moerman otrzymali jedyny w świecie order nadawany przez dzieci - Order Uśmiechu. Dopełnili oczywiście rytuału, wychylając bez mrugnięcia okiem tradycyjny toast sokiem z cytryny, (**kl**)

Święto tylko w poniedziałek!

(PAP). Niezwykłą ustawę uchwalono niedawno w Brazylii: wszystkie święta obchodzone w tym kraju w środku tygodnia przenoszone będą na poniedziałek! Wyjątek stanowią: 1 stycznia, Dzień Proklamowania Niepodległości - 7 września i Boże Narodzenie – 25 grudnia.

Ta nieco dziwna dla nas ustawa powstała dlatego, że weseli Brazylijczycy z reguły dzień świąteczny przypadający w środku tygodnia przedłużali sobie do następnego poniedziałku. Ten nieustający karnawał powodował poważne straty gospodarcze. Trzeba więc było temu zaradzić...

Podziemne termosy

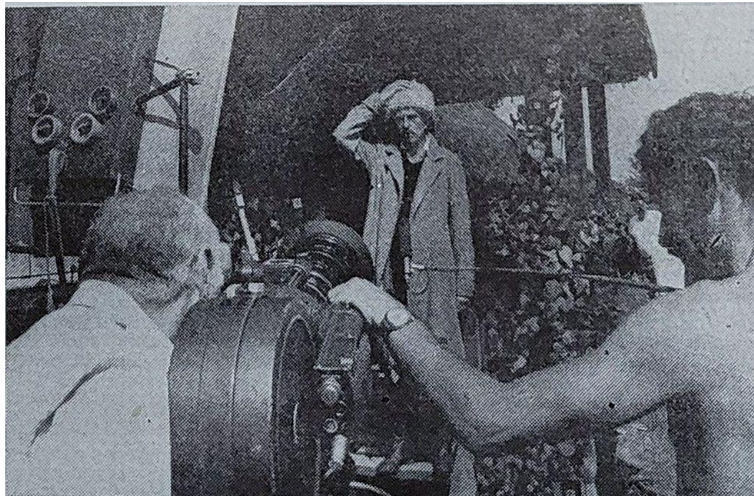
SZWECJA (PAI). Wykorzystując ciepło skorupy ziemskiej, szwedzkie miasto Lund ogrzewa dziś 75 proc. Domów. Do roku 2000 ilość ropy do opalania mieszkań w Lund spadnie do 20 proc, jej obecnego zużycia.

Ostatniej zimy również Przedsiębiorstwo Wykorzystania Ciepła Ziemi w Dreźnie ogrzało 250 mieszkań, wykorzystując wodę z Łaby. Podobne urządzenia działają już w rejonie Paryża i Bordeaux we Francji,

Na filmowym planie

(**CAF**). Reżyser Zbigniew Kuźmiński kręci obecnie zdjęcia do nowego filmu wg powieści Elizy Orzeszkowej - „Nad Niemnem". Wszystkie sekwencje dotyczące wsi Bohatyrewicza nakręcane są we wsi Koźliki woj. białostockie. Pozostałe kręcone będą nad Bugiem w okolicach Drohiczyna. Zakończenie zdjęć reżyser przewiduje w listopadzie br. a wszystkie prace związane z montażem i udźwiękowienie filmu pragnie zakończyć wiosną 1986 r. Autorem scenariusza jest Kazimierz Radowicz. W filmie zobaczymy tak znanych aktorów jak Janusz Zakrzeński, który wystąpi w roli Benedykta Korczyńskiego. Marta Lipińska (wcieli się w postać jego żony) i Michał Pawlicki (Anzelm). Role główne zagra para młodych aktorów Iwona Katarzyna Pawlak (studentka IV r. Szkoły Filmowej w Łodzi) i aktor Teatru Narodowego w Warszawie, Adam Mariański.

Na zdjęciu: na planie filmowym.





DLACZEGO NIE BAWIĘ SIĘ W HARCERSTWO

Ty wciąż bawisz się w harcerstwo? - pytają mnie znajomi mocno zdziwieni. A ja się tylko uśmiecham, bo wcale się nie bawię. Ja już nie mogę się bawić. Jakieś dwa lata temu była to być może zabawa, ale nie teraz. Żeby było śmieszniej doskonale rozumiem - dlaczego są tacy zdziwieni. Spróbuję im wytłumaczyć dlaczego nie bawię się w harcerstwo - dlaczego JESTEM harcerką.

Zaczęło się - tak jak to się zwykle zaczyna. Więc najpierw obóz, na którym dużo śpiewamy, wygłupiamy się, ale i uczymy (!). Wracam zachwycona do naszego miasteczka i chciałabym jakoś przedłużyć tamte chwile, tęsknię za grupą wspaniałych kumpli. A ponieważ nie ma drużyny, sama ją zakładam. Skąd my znamy te obrazki? Młoda, niezbyt doświadczona uczennica bawi się z dziećmi na szkolnym korytarzu, a zabawę tę szumnie nazywa zbiórką. Pamiętam, że byłam naiwna i pełna zapału, a dzieciaki dosyć cwane. Chłopaczek na przykład zamknął się w szafie i nie wyszedł dopóki mu nie obiecałam dwóch „donaldów". I musiałam je kupić, bo przecież druhna obietnic nie łamie. Potem zaczęło być nudnie. W końcu na zbiórkę przyszła jedna osoba. Frajerska sprawa - mówili mi naokoło.

Życie w małym miasteczku płynie szaro i leniwie. Dla starszej babci jest to być może rajskie życie, ale nie dla młodzieży. My pragniemy szalonych przygód, a trudno przeżyć takie w małej mieścinie. Można zabawić się paląc, pijąc, można postawić sobie włosy na punka albo jeszcze lepiej w ogóle ogolić na łyso. Tylko, że nie wszystkich to bawi. Kiedy szuka się więcej niż samego buntu, kiedy szuka się działania - powinno przyjść harcerstwo. Prawdziwe harcerstwo. Właśnie — powinno przyjść, ale często nie przychodzi, bo go akurat tutaj nie ma. Do mnie też nie mogło przyjść, więc ja poszłam do niego.

Trafiłam do harcerstwa i poznałam harcerstwo dzięki temu, że zostałam korespondentką HSI „Świata Młodych". Te pierwsze lata były cudownie sielsko-anielskie. Poznawałam ludzi zakochanych w harcerstwie, czytałam książki i byłam zafascynowana tym wszystkim co odkryłam. Poznawałam różne drużyny, różne harcerskie zwyczaje. Wszystko wydawało mi się proste i różowe (prócz najróżniejszych regulaminów, które było mi trudno opanować).

Długo musiałabym wyliczać co zawdzięczam harcerstwu. Ale spróbuję. Zacznę od banalnej, ale poszukiwanej - przygody. Na pewno będę miała co wspominać wnukom; te podróże pociągami, niegroźne i groźne wypadki, pierwsze artykuły, obozowe dnie i noce, spotkania z ludźmi znanymi tylko ze stronic gazet. Słowem: służba harcerska była prawdziwą przygodą. Służba... Nikt nie potrafił mnie lepiej nauczyć znajdować radość w pożytecznym działaniu. Prawda, że to brzmi okropnie: pożyteczne działanie. To takie niedzisiejsze i niemodne. A jednak, a mimo wszystko... Nie chcę idealizować, ale często czyjś uśmiech i wdzięczność były najwartościowszą zapłatą. I śmiem twierdzić, że kto takiej zapłaty nigdy nie otrzymał jest bardzo ubogi, choćby miał złote runo i słonia w karafce. Czego jeszcze uczy harcerstwo? Uczy braterstwa i wspólnoty. Dziś, gdy coraz częściej słyszy się, że człowiek człowiekowi wilkiem, czyż nie są to cenne wartości? Harcerstwo pomaga kształtować charakter, być panem siebie. I bynajmniej nie kształtuje naiwniaczków, raczej ludzi z pewnymi zasadami, pragnących nie tylko brać, ale też i dawać. Cóż, jeden czerpie radość w ciągłym gromadzeniu i chomikowaniu, drugi w dzieleniu się z innymi. Ja czuję się bogatsza, gdy mogę komuś coś dać i (może to dość oryginalne egoistyczne pobudki) lubię cieszyć się, gdy on się cieszy.

Niestety (i tych niestety jest kilka). A więc niestety - mundur harcerski coraz rzadziej świadczy o wysokiej wartości człowieka. Coraz więcej mamy harcerzyków, którzy zakładają go z bliżej nieokreślonej przyczyny. Najczęściej jest nią atrakcyjny obóz, A to wszystko dlatego, że harcerzem zostać jest dziś tak łatwo. Mam ogromny żal i jednocześnie jestem wściekła na tych harcerzyków, którzy niszczą to, co ja pokochałam i czemu tak wiele zawdzięczam. Niestety, teraz harcerstwo przestało być modne. Teraz z harcerstwa wyrasta się jak z bajek o dobrych księżniczkach i złych smokach.

W zeszłym roku byłam w pionierskim obozie Artek. Nie zapomnę z jaką zazdrością i szacunkiem patrzono tam na nasze mundury. Na Zachodzie poszczególne partie polityczne mają swoje organizacje młodzieżowe, ale trudno je nawet porównywać z harcerstwem. W Krajach Demokracji Ludowej taką organizacją jest pionierstwo. Tam w Arteku nauczyłam się być dumna ze swojego munduru i harcerskości. Przekonałam się, że naprawdę posiadamy coś cennego i nie powinniśmy dopuścić, by to utracić. Aha, jeszcze jedno małe wspomnienie. Wiele moich koleżanek jest na zabój zakochanych w tym co amerykańskie, o amerykańskich chłopakach tańczących breakdance nie wspomnę. Otóż kochaniutkie, na dyskotekach ci chłopcy najczęściej tańczyli właśnie z harcerkami i w ogóle wystarczyło włożyć mundur, aby być rozchwytywanym. I co wy na to?

A teraz już wracam na swoje podwórko, czyli do szarej rzeczywistości, która na szczęście nie zawsze jest szara. Mam więc drużynę zuchową, a wraz z nią dużo radości i kłopotów. Radością są te chwile, w których dobrze się bawimy i rozumiemy, a kłopotem gdy coś nie gra. Są też drobne zdarzenia, które choć nie są śmieszne wspominam z uśmiechem. Choćby ostatnio. Coś tam w naszej harcówce malowano i zostały puszki z farbą olejną. Agata wykorzystała chwilę mojej nieuwagi i włożyła do nich ręce aż po łokcie. Wyglądała przekomicznie, jak w białych rękawiczkach. Nieprzytomnie dusiłam się ze śmiechu. Dla uspokojenia dodam, że wspólnym wysiłkiem domyliśmy tę farbę. Takie są moje dzieci: chcą wszystko wiedzieć, sprawdzić, dotknąć.

I tą zabawną opowiastką chciałabym zakończyć moją odpowiedź na pytanie: dlaczego jestem harcerką. Mam cichą nadzieję, że choć trochę mnie rozumiesz, bo prawdziwe harcerstwo to naprawdę wspaniała sprawa.

A może i Ty napiszesz dlaczego jesteś harcerką, harcerzem.

Iwona Jaworska
korespondentka HSI „ŚM"
Staszów

Czas wolny

Już wyłonił się napis Ostrava-Poruba. Jest pochmurno, pluta rano i strasznie chce się spać. Jeszcze tylko półgodzinna jazda tramwajem i... już mogę przytulić się do poduszki.

Przybyło nas tu klika tysięcy - jedenaście grup młodzieży z całej Polski. Przed nami dwa tygodnie w Czechosłowacji.

Pierwszy dzień jeszcze na luzie, przeznaczony na odpoczynek rozejrzenie się po najbliższej okolicy, oswojenie. Za to już w środę wycieczka, parę kilometrów piechotą do Hrabyny. Jest to śliczne, czyste i kolorowe miasteczko. Cel naszej wyprawy — muzeum i pomnik wzniesiony ku czci żołnierzy poległych przy wyzwalaniu tych terenów. Ostrawa jest ważnym ośrodkiem górniczym i przemysłowym, nie obyło się więc bez wycieczki do jednego z ważniejszych zakładów miasta — największej huty. Wysokie hale, pełno maszyn, huk. W części, którą zwiedzamy, wyrabia się kondensatory. Przewodnik mówi po czesku i niewiele rozumiem, ale jestem pierwszy raz w takim zakładzie i oglądam wszystko z zainteresowaniem.

W ogóle, jeśli chodzi o porozumiewanie się z Czechami, to jest to dziwna sprawa. Rozumieją wszystko, co do nich mówimy, a my ich ani trochę. W pewnym sklepie nie mogłam zrozumieć, ile kosztuje bluzeczka. I wówczas ekspedientka podpowiedziała mi: - Po waszemu to będzie trzydzieści cztery. Oj, wstyd.

Miło wspominam wycieczkę do Novego Jičina (nie tego od Rumcajsa). Zobaczyliśmy muzeum kapeluszy i śliczny skansen. Zabytkowe chatki, dworki, kościółek. Wnętrza urządzono tak, jakby tam jeszcze teraz ktoś mieszkał. Gdzieś niedbale rzucone buciki, fartuszek. Aż szkoda opuszczać to miejsce, tak jest przytulnie.

Dużo wolnego czasu. Co drugi dzień i każde popołudnie to osobni volno. Nie można przecież cały czas biegać po sklepach, zachwycać się wystawami. Przydałaby się chociaż piłka. Niestety, sprzętu sportowego nie mamy i do końca turnusu na wszystkie grupy przypadała para rakietek do kometki, ale i one w końcu nie wytrzymały intensywnego eksploatowania. W ogóle program obozu potraktowano po macoszemu. Gdyby nie nasza wspaniała komendantka, druhna Teresa Jachimkowska i pilot Józinek, który stawali na głowie, by jakoś to związać w sensowną całość, raczej marnie byśmy wyglądali.

Minęło szybko. Znów dworzec, tłum młodzieży, ostatnie uściski.

— Żegnaj Józinku! Żegnaj Czechosłowacjo!

Iwona Jurecka
korespondentka HSI „ŚM"
Staszów



— *Kamienie mam w tym plecaku, czy co?*

Rys. **Iwona Jurecka**



Każdy ma prawo robić to, co chce

Piszę w związku z listem pt. „To już nie ta wieś..." zamieszczonym w „RP" nr. 91. Według opinii Beli i Gosi dziewczyny ze wsi są gorsze od tych z miasta. Moim zdaniem człowiek człowiekowi jest równy.

Nie jestem mieszkanką wsi; wręcz przeciwnie mieszkam tak samo jak Bela i Gosia w mieście, lecz mam przyjaciółkę z malej wioski i nie zdążyłam zauważyć różnicy między nami. Moim zdaniem ubiera się rak samo jak wszystkie dziewczyny. Na naszym osiedlu również nikt nie zauważył, żeby ubierała się gorzej chociaż jest ze wsi.

Bela i Gosia piszą: „... Ubierają się w pewexowskie ciuchy bez polotu i gustu myśląc, że inne dziewczyny zazdroszczą im ubrań..." Piszą jeszcze „... Otóż uważamy, że dziewczyny ze wsi mają o wiele lepsze od nas ubrania, chociaż na nich to wcale dobrze nie leży..."

Uważam, że autorki listu są zarozumiałe, za bardzo wpatrzone w siebie, a ponadto są egoistkami i dlatego tylko tak uważają. Bo gdyby nie zazdrościły innym dziewczynom, to listu tego na pewno by nie napisały. Rzeczywiście dużo rodzin wyjeżdża ze wsi do miasta lub za granicę jak to napisały Bela i Gosia „... żeby się jakoś urządzić..." Moim zdaniem każdy ma prawo robić co mu się żywnie podoba. Za granicę wyjeżdżają nie tylko ludzie ze wsi, ale także i z miasta.

Kaśka z Gliwic

Poniżenie

Piszę w sprawie listu. Beli i Gosi z Krakowa (91 nr „ŚM"). Muszę przyznać, że z dużym zdziwieniem przeczytałam ich wypowiedź. Moim zdaniem poniżają dziewczyny ze wsi pisząc, że wszelkie modne ciuchy nie pasują do nich i że ubierają się niegustownie. Czyżby chciały widzieć wiejskie dziewczyny w brudnych, podartych łachmanach?

Osobiście nie widzę nic złego w tym, że moda jest taka sama i w mieście, i na wsi. Młodzież wiejska, owszem, chodzi do kina, bo czemu miałaby, nie chodzić?! Odniosłam wrażenie, że autorki listu milej by widziały polską wieś zacofaną, bez światła, niż taką, jaka jest obecnie.

Ludzie z miasta są tacy jak ludzie ze wsi i niczym się nie różnią. Mają takie same prawa i mogą chodzić szałowo ubrani. Ja mieszkam w małym miasteczku i ubieram się nie najgorzej, a nie widzę, w tym nic zdrożnego. Jestem ciekawa, co myślą o tym moi rówieśnicy? ..

Dorota z Dąbrowic

Czy mieszkaniec wsi musi być gorszy?

Piszemy w sprawie listu Beli i Gosi z Krakowa („RP" nr 91). Mieszkamy w jednym z miast woj. słupskiego, w Człuchowie, jesteśmy przyjaciółkami i mamy po 14 lat.

Naszym zdaniem Bela i Gosia nie mają racji. Dlaczego dziewczyna ze wsi ma być gorsza od dziewczyny z miasta? Każdy ubiera się tak jak chce, niezależnie od tego czy jest z miasta, czy ze wsi. Każdy ma również, prawo chodzić do kina lub też wyjechać do innego miasta czy za granicę.

Uważamy, że Bela i Gosia niechętnie i lekceważąco traktują młodzież ze wsi. My jesteśmy innego zdania i potępiamy postawę Beli i Gosi.

Ilona i Renata

Harcerski Dom Kultury i Techniki w Łodzi ***PRZYPOMINA***

Zostało tylko kilka dni na wysłanie fotografii na konkurs:

„NASZE LATO W OBIEKTYWIE"

W konkursie mogą wziąć udział wszyscy uczestnicy harcerskiej Akcji Letniej '85, nadsyłając dowolną liczbę prac, w dowolnej technice. Format zdjęć nie może być mniejszy niż 13x18 cm, choć pożądane są formaty większe. Każde zdjęcie powinno być czytelnie na odwrocie opisane (najlepiej ołówkiem); zawierać tytuł pracy oraz godło (symbol) autora. Do zdjęć należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną symbolem autora, do środka tej koperty trzeba włożyć kartę zgłoszenia zawierającą: imię i nazwisko autora, wiek, dokładny adres zamieszkania, nazwę hufca.

Fotografie konkursowe prosimy nadsyłać pod adresem: **Harcerski Dom Kultury i Techniki, ul. Wrześniewska 64,91-045 Łódź w terminie do 2 października 1985 r.** - decyduje data stempla pocztowego. (Organizatorzy konkursu nie ponoszą odpowiedzialności ze uszkodzenie zdjęć powstałe w czasie przesyłania).

Komisja sędziowska oceni nadesłane prace do 15 X 1985 r. w dwóch kategoriach: autorów do lat 15 oraz powyżej 15 lat.

Szczegółowy terminarz konkursu:

- nadsyłanie prac - do 2 X 1985 r.
- ogłoszenie wyników, otwarcie wystawy prac nagrodzonych - do 30 XI 1985 r.
- zwrot prac nie przyjętych na wystawę - do 30 XI 1985 r.

Dla biorących udział w konkursie przewidziane są pamiątkowe dyplomy, dla laureatów - nagrody. Najlepsze zdjęcia zaprezentuje na swych łamach „Świat Młodych".

Biszkopty są zadowolone

Część tegorocznych wakacji spędziliśmy w stanicy NAL, która zlokalizowana była w Bełku - wsi wchodzącej w skład naszego miasta i gminy. Ze względu na to, że hufcowy obozowy sprzęt harcerski przechodził w tym samym czasie gruntowny remont, za bazę noclegową posłużyła nam Szkoła Podstawowa im. Lucyny Hertz w Bełku.

Przez 14 dni jako sypialnie wykorzystywaliśmy dwie klasy, które sami zagospodarowaliśmy; salę gimnastyczną, w której odbywały się wszystkie imprezy w dniach deszczowych, i świetlicę, którą zamieniliśmy na klub artystyczny. Sami utrzymywaliśmy w czystości użytkowane przez nas pomieszczenia.

Uczestnikami naszego NAL-u w stanicy byli harcerze, zuchy oraz młodzież niezrzeszona w wieku od 8 do 18 lat, ze wszystkich szkół znajdujących się w granicach administracyjnych naszego miasta. Było nas 50 i każdy zastęp miał przydzielone określone czynności. Instruktorzy: phm Janusz Jasiek i phm Maria Jasiek przy pomocy kadry młodzieżowej organizowali nam różne zajęcia, dbając żeby wszyscy byli zadowoleni. Kucharki napełniały nasze żołądki różnymi smakowitymi potrawami.

.Pogoda sprzyjała urządzaniu gier i zabaw na świeżym powietrzu, zachęcała do korzystania z basenu kąpielowego, a ciepłe wieczory do śpiewu i pląsów przy ognisku. Braliśmy, udział w różnych konkursach, spartakiadzie sportowej; zorganizowano dla nas kominek poświęcony 40 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem, oraz Dzień Przyjaźni i Braterstwa w związku z moskiewskim festiwalem młodzieży. Mieliśmy też wycieczkę do wesołego miasteczka w Chorzowie, obejrzeliśmy film w kinie, zorganizowaliśmy festiwal piosenki w kategoriach: dziecięcej i młodzieżowej. Pod koniec trwania naszego NAL-u wykonaliśmy kilka prac społeczno-użytecznych w obejściu szkoły, a na finał harcerze zorganizowali dla wszystkich prawdziwy bieg sprawnościowy zakończony pieczeniem kiełbasek. Nauczyliśmy się wielu pożytecznych czynności, które pomogą nam stać się teraz bardziej samodzielnymi.

Tak się złożyło, że wszyscy harcerze, biorący udział w NAL-u byli także uczestnikami tegorocznego obozu harcerskiego w ramach HAL-Śląsk'85. I właśnie tam, w Kuźnicy Brzeźnickiej, poznaliśmy uroki leśnego życia. Po raz pierwszy uczestniczyliśmy w tego rodzaju wypoczynku letnim, nie ominął nas więc chrzest biszkoptów. Otuchy dodawali nam jednak nasi znajomi instruktorzy z NAL, którzy nie opuścili nas w chwili tego „strasznego" egzaminu samodzielności oraz pomagali wytrwać do końca obozu. I choć pogoda nas nie rozpieszczała, przeżyliśmy wspaniałe chwile, a doświadczenia i informacje zdobyte w Bełku pomogły nam przełamać tremę, która zawsze towarzyszy nowicjuszom przy wykonywaniu różnych zadań. Wystrój naszego obozu oceniono jako jeden z lepszych na zgrupowaniu. Po przeprowadzeniu zwiadu po najbliższej okolicy doszliśmy do wniosku, że w Kuźnicy znajdują się piękne miejsca do przeprowadzania podchodów, gier i zabaw terenowych. Odbyliśmy wspaniałą wędrówkę po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej Szlakiem Orlich ' Gniazd. Była też olimpiada obozowa i festiwal piosenki zakończony balem narodów.

Przeżyliśmy wspaniałe chwile na alarmach nocnych, pełniąc służbę w kuchni i dumni byliśmy, kiedy wizytujący nas goście pozostawiali w kronice obozu miłe dedykacje. Wielu z nas złożyło Przyrzeczenie Harcerskie, zdobyło wyższe stopnie, a wszyscy pochwalić się możemy rękawami pełnymi nowych sprawności. Opaleni, szczęśliwi, z bagażem nowych wiadomości, miłych wspomnień oraz pamiątkowymi drobiazgami z cepeliady obozowej wróciliśmy do swych drużyn.

Uczestnicy HAL
Zorganizowanej przez
Komendę Hufca
w Leszczynach
(woj. katowickie)

Załatwić z samym sobą

CHLUPOT

Kopali rów przez plażę do jeziora. Całkiem głęboki, bo coraz mniej ich było z niego widać. Dzieci ściągały do tego rowu i gapiły się z przejęciem. Kiedy rów zagłębił się w ziemię w sam raz, chłopcy nagarnęli doń jeziornej wody i dno wykopu napełniło się gęstawą pacią błotną. Teraz wystarczyło nakryć rów gałązkami i robota była skończona. Maluchy aż skręcają się z ciekawości, żeby dowiedzieć się, czemu ta dziura w ziemi ma służyć. - To pułapka na małe dzieci - odpowiedzieli kopacze żartobliwie, i tak zagadka pozostała zagadką. Wkrótce jednak wieść zaczęła po nabrzeżu jeziora się roznosić, że wodniacy na zakończenie obozu, wieczorem, będą urządzać neptunalia. Tradycyjnym obrządkiem dopuszczą do bractwa wtajemniczonych nowicjuszy, którzy na obozie zdobyli pierwsze fachowe ostrogi.

Za wieścią podążyło oficjalne zaproszenie. Kto żyw na półwyspie przygotowywał się do widowiska. Harcerze z obozu wędrownego oporządzali mundury, ci z obozu stałego też przebierali się na galowo, wczasowicze z ośrodka naciągali na dzieci swetry, z obawy przed chłodem wieczoru i szykowali koce, żeby maluchom wygodnie się siedziało w czasie spektaklu. A wodniacy tymczasem zwijali swoje obozowisko, bo już bardzo wczesnym rankiem mieli wyruszyć na dworzec.

Widownia zgromadziła się na długo przed terminem i w skupieniu, cierpliwie czekała na to, co ma zobaczyć.

Najpierw usłyszała. Dziki wrzask diabłów poprzedzał pojawienie się Neptuna. No i... Dalej rzecz się toczyła zgodnie ze znanym, powszechnie scenariuszem, ale kto to widział po raz pierwszy, piszczał z uciechy. Półnagie ofiary neptunowej woli oblewane wiadrami wody, pojone żrąco-cuchnącym napojem, taplane w błocku rowu, w dzień udającego pułapkę na molo dzieci, znosiły wszystko w zaciętym milczeniu, obiecując sobie rychłą zemstę. Dziewczyna, która upięła długie włosy w kok, by je uchronić przed błotną mazią, wypadła jednak na chwilę z roli potulnej niewolnicy, kiedy diabły kazały rozpuścić włosy, by swobodnie spływały na plecy.

W tym miejscu publiczność skrzywiła się po raz pierwszy. Potem krzywiła się jeszcze raz po raz, kiedy w neptunowym obrządku trafiały się przejawy sadystycznego traktowania nieszczęsnych nagusów. Ale w końcu ich sprawa - myśleli sobie suchuteńcy widzowie - chcą się tak bawić, to niech się bawią.

Umorusani nowicjusze przeszli wreszcie przez to, co było dla nich przewidziane. I wtedy... Podziało się gdzieś ich pokorne milczenie. Głośny krzyk wydarł się z kilkunastu piersi i ofiary ruszyły na swych katów. Chlupot ciał wrzucanych w wieczorną toń jeziora zagłuszały przeraźliwe wrzaski protestu, tupot bosych stóp na deskach podestów, głośne piski rozgrzanej do czerwoności najmłodszej części publiczności. Ten akt drugi widowiska przerodził się niespodziewanie, bez przerwy w spektaklu, w akt trzeci. Na scenę zostali wciągnięci, co tu ukrywać, zdecydowanie wbrew woli, dotychczasowi widzowie. W wodę wpadały zakutane w swetry dziewczyny razem z butami, zegarkami i tym wszystkim, co miały na sobie i przy sobie. Obóz wędrowny zrejterował w popłochu, bo gdzie i kiedy miałby suszyć swoje mundury przed jutrzejszym wymarszem. Drugi obóz został sprawnie ewakuowany przez instruktorów przestraszonych ewentualną możliwością utonięcia kogoś w tym tumulcie i ciemnościach. Wczasowi rodzice złapali za koce i dzieciaki, biegiem zdążając ku zbawczym ścianom budynku.

Wodniacy przed północą wycofali się z pola walki, a o świcie i z półwyspu, unosząc swoich rannych (jedno zatarte piaskiem oko, jedne torsje ze skurczami żołądka, stłuczone kolano, kilkanaście zadrapań).

Zaproszeni goście wczasowi, którzy z pola walki uciekli haniebnie już u jej początku, unieśli co prawda cało głowy, ale nie gardła, bo dwie skąpane dziewczyny chrypiały przeraźliwie do końca turnusu. Przez cały następny poranek sumowano straty: jeden różowy, śliczny zegarek elektroniczny, prezent z okazji ukończenia szkoły podstawowej, dwa zegarki zwykłe, nieodporne na wodę, dopiero co kupione adidasy (które trzeba zastąpić bosą stopą z braku innego obuwia we wczasowym ekwipunku), kilka mokrych, długo schnących swetrów i spodni, i bluzek, i koszul, i, i, i. I największa strata - sympatii do wodniaków.

Myślicie, że opowiadam Wam to wszystko linijka po linijce, bo nie lubię wygłupów? Nic bardziej mylnego - kocham wygłupy. Nawet całkiem głupie. Były nie zagrażały nikomu niebezpieczeństwem, byle nie dawały nikomu okazji do sadystycznego, przekraczającego ramy zabawy, znęcania się nad kimkolwiek, byle nie były narzucane nikomu, kto w nich udziału brać nie chce.

Są takie obrzędy - stare jak świat, na szczęście mimo to mało szacowne, ciągle jeszcze rześkie i dobrze zakonserwowane - które polegają na daniu w tzw. kość nowicjuszom chcącym się dostać do jakiegoś wtajemniczonego grona. Obie strony biorące udział w zwariowanym misterium wiedzą, co jest grane, przyjmują do wiadomości, akceptują. Kandydaci na łachmanów godzą się z koniecznością nadstawienia własnej skóry i przyjęcia z wdzięcznością niedźwiedzich pieszczot. Tradycja rzecz piękna, niech trwa. Ale u licha, taki obrzęd, choć kostropaty, ma zostawić miłe wspomnienia, dać satysfakcję, że udało się zostać prawdziwym wilkiem morskim, prawdziwym żeglarzem, prawdziwym górnikiem albo i prawdziwym zuchem (bo i w drużynach zuchowych podobne obrzędy się stosuje). Nie może być wspomnieniem przykrym, budzić wzajemnych niechęci, poczucia krzywdy ani też upokorzenia.

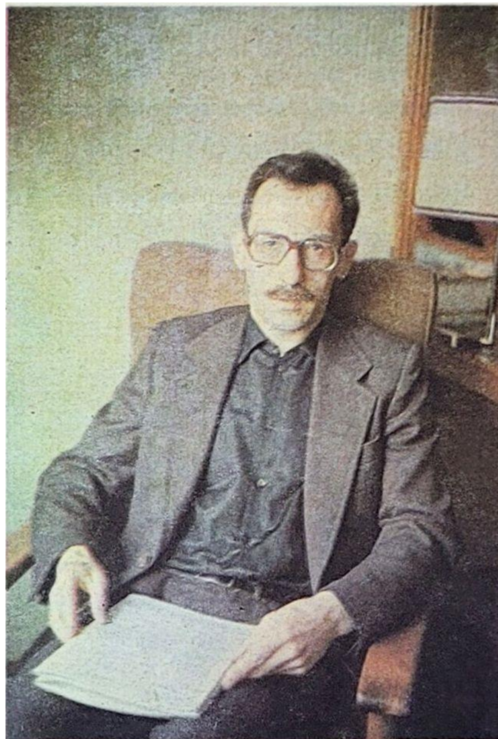
Warto to przemyśleć z samym sobą. A i przegadać z tym i owym. Naprawdę warto.

EWA DROBNIK

W ciągu ostatnich dwóch wieków naukowcom udało się odszyfrować ponad 20 starożytnych języków. Odczytano pisma wszystkich liczących się niegdyś cywilizacji: sumeryjskiej, etruskiej, egipskiej.

Problemem spędzającym sen z oczu lingwistów były tajemnicze napisy na przedmiotach i amuletach odkrytych w dolinie Indusu. Ośrodki naukowe kilku krajów od lat próbowały rozwikłać tę zagadkę. Bezskutecznie. Najstarszą cywilizację indyjską otaczał mur milczenia.

Hobbista odkrywa tajemnice jednego z najstarszych pism świata



Szczeciński naukowiec pewien jest swojego odkrycia, jednak przedstawia go jako hipotezę. Pełną wartość naukową uzyska dopiero wtedy, gdy potwierdzą ją zawodowi prehistorycy i językoznawcy

Z niewielką pomocą bogini Kali

Dr Benon Szałek, pracownik naukowy Politechniki Szczecińskiej, gdzie zajmuje się zagadnieniami ekonomiki transportu, starożytnością interesuje się od kilkunastu lat. Swoje niezwykłe hobby zaczął uprawiać jeszcze podczas nauki w liceum. Najbardziej ciekawiła go wtedy mitologia - barwne dzieje greckich bogów, półbogów i ich ziemskich konkurentów. Stąd był już tylko krok do fascynacji kulturą antyczną i nieodczytanymi tekstami z okresu hellenskiego. Związany z tym element zagadki coraz bardziej rozpalał jego wyobraźnię.

Jednak w tej dziedzinie ciekawość i zapał nie wystarczają. Potrzebna jest jeszcze ogromna pracowitość, iście benedyktyńska cierpliwość i wiedza. I to wiedza niebagatelna. Oprócz solidnej znajomości greki trzeba było gruntownie poznać wyniki badań archeologicznych, przestudiować historię i geografię tego obszaru.

- Najtrudniejszy jest początek. Szuka się po omacku, zupełnie nie wiadomo od czego zacząć. Na klucz rozwiązania może naprowadzić imię wodza, bóstwa, nazwa gwiazdozbioru, lub miasta będącego przed wiekami stolicą jakiejś prowincji. Im więcej informacji się posiada, tym większe jest prawdopodobieństwo, ze nasunie się trafne skojarzenie. Ale wyrywkowa identyfikacja znaków nie wystarcza. Trzeba sprawdzić słuszność hipotezy, analizując dużą partię tekstu. Jest to mordercza robota - odsłania tajniki warsztatu pracy deszyfratora szczeciński hobbista.

Na początku lat 70-tych dr Szałek publikuje wyniki swoich badań nad hieroglifami odkrytymi przez archeologów na Krecie. Oprócz napisów na glinianych tabliczkach, toporach i głazach ofiarnych, udało mu się odczytać tekst ze słynnego dysku z Fajstos, wykonanego ok. 1700 lat przed naszą erą.

- Ten okrągły przedmiot z wypalonej gliny jest obustronnie zapisany, a napisy biegną spiralnie - od obrzeża do środka. Nie byłem na Krecie, gdzie znajduje się ten obiekt, miałem jednak dokładne zdjęcia i obrysy...

To już była sensacja! Problem, nad którym od wielu lat bezskutecznie trudzili się specjaliści, rozwiązał dyletant! Jest to jednak dyletant niezwykły. Rozwijając swoje zainteresowania historią dawnych kultur zdołał opanować - oczywiście w różnym stopniu - 20 języków żywych i martwych! Języki żywe - aby czytać fachową literaturę, której u nas prawie nie ma. Języki martwe - aby zgłębiać starożytne teksty. Ponadto przy deszyfracji wykorzystuje swoją wiedzę zawodową, wspierając badania językoznawcze zasadami, które dają się opisać za pomocą aparatu matematycznego. Taki amator niejednego utytułowanego badacza prehistorii może wpędzić w kompleksy!

Przekaz z zamierzchłej przeszłości

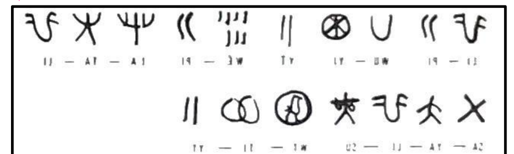
W trzecim i drugim tysiącleciu przed naszą erą w dolinie Indusu, kwitła jedna z największych cywilizacji starożytnego Wschodu. Pozostawiła po sobie murowane budynki, skanalizowane ulice (!), baseny, porty, wyroby jubilerskie. I tajemnicze pismo, pokrywające amulety i drobne przedmioty.

Przez wiele lat ośrodki naukowe w Indiach, Wielkiej Brytanii, USA, ZSRR, Finlandii próbowały odczytać jego treść. Było to zadanie bardzo trudne, gdyż nie znano języka jakiego używali dawni mieszkańcy doliny Indusu. Na pewno nie byli oni prostymi przodkami dzisiejszych Drawidów z południowych Indii. Napisy były bardzo krótkie, zazwyczaj posiadały kilka znaków, co znacznie utrudniało poznanie budowy gramatycznej. Poza tym brak było tzw. bilingwy, czyli tekstu dwujęzycznego, zapisanego znanym systemem pisma w jakimś znanym języku. Naukowcy obawiali się więc, że jednego z najwcześniejszych pism na Ziemi nigdy nie uda się odczytać.

Szczeciński naukowiec również zainteresował się tym problemem. Przez kilka lat gromadził materiały źródłowe: specjalistyczne czasopisma, książki, zdjęcia, rysunki. Pracę nad deszyfracją rozpoczął w czerwcu 1984 roku, poświęcając swojej pasji cały swój wolny czas. W październiku lingwistyczny rebus był już „rozłupany"!



Napis nad rysunkiem sprzed kilku tysięcy lat brzmi: „siedzący w kucki król"



Deszyfracja polega na udźwiękowieniu znaczeń zapomnianego języka. Później tekst trzeba zapisać znanym systemem pisma i przetłumaczyć

- Ustaliłem, że napisy z reguły biegną z prawa w lewo i są sporządzone w języku drawidyjskim. Jest to pismo sylabiczne, a nie jak dawniej sądzono, złożone z hieroglifów. Cały system liczy nie więcej niż 100 znaków. Najczęściej znaki oznaczają sylabę otwartą, tzn. na początku jest spółgłoska połączona z samogłoską, np. li, we, ba, itp. Napisy sporządzone w tym języku są krótkie. Często są to imiona bogów lub ich „pseudonimy". Niektóre z bóstw występują także w mitologii indyjskiej, np. bóg miłości Kama, czy bogini śmierci Kali,

Praca nad odczytaniem nieznanego pisma przebiega w trzech etapach. *Deszyfracja* - pierwszy, najtrudniejszy etap - polega na udźwiękowieniu poszczególnych znaków. *Interpretacja*, to zapisanie tekstu znanym systemem pisma. Dopiero wtedy można zająć się jego tłumaczeniem.

Tajemnica sukcesów szczecińskiego naukowca, kryje się zapewne w tym, że w swoich badaniach potrafi on wyjść poza ramy wiedzy specjalistycznej, łącząc ze sobą wiadomości z różnych dyscyplin nauki. Przy analizie starożytnych tekstów posługuje się wypracowaną przez siebie metodą analizy wielopoziomowej, wykorzystując m. in. matematyczną teorię systemów.

- Swego rodzaju systemem jest dany język i jako taki ma pewien właściwy mu porządek. Odczytanie, lub jak wolą niektórzy, odgadnięcie tego porządku jest właśnie deszyfracją - napisał w jednej ze swoich prac.

Dr Szałek najbardziej jest dumny z odczytania długiego napisu, znajdującego się na amulecie w kształcie pryzmy. Oto jego treść: „Przeznaczenia unikać, to głupiego radość. Wyobrażony los każę płacić długi".

- Odczytanie tej maksymy było dla mnie niesamowitym przeżyciem. Zabrzmiało to jak przekaz z przeszłości. Po raz pierwszy od tysięcy lat udało się nawiązać kontakt z tamtymi kapłanami, uczonymi...

JUSTYN OPARA
Fot. **autora**

WOLĘ BYĆ

Najmłodsza była Daria, dwunastolatka, potem Ula, ósmoklasistka, słynąca na cały obóz z tego, że mimo mikrej postury niesamowicie dużo mówiła i równie dużo - jadała. Najstarszy, 24-letni Tadeusz był najbardziej malowniczą postacią; z przepaską w długich włosach, nie rozstający się z ogromnym kamizelo-workiem z włóczki. „Trochę" starsi byli organizatorzy obozu - dziennikarze z redakcji „Na przełaj", no i goście, zaproszeni na rozmowy o sprawach interesujących wszystkich jego uczestników. Ich wiek nikomu nie wadził: jedna z dziewczyn napisała o pewnym gościu - lekarzu: wyglądał na 60, ale w środku miał najwyżej 30 lat.

Z najlepszych manier słynął obozny, Kazik z „Na przełaj"; rano nie trąbił pobudki, nie gwizdał, nie wrzeszczał, a chodził od namiotu do namiotu i aksamitnym głosem prosił: wstańcie, kochani, zapowiada się piękny dzień. I śniadanko już gotowe.

Sprawcami największego zaskoczenia byli dwaj zaprzyjaźnieni z NP dziennikarze : Wojtek, piastujący wysoką godność w „Interpresie" i Jurek - także w Wydziale Prasy KC PZPR. Wojtek przybył dużym białym autem i wszyscy powiedzieli, o, to ten z KC, a Jurek tłukł się całą noc pociągiem, chyba nawet osobowym i powiedziano o nim: ci dziennikarze to mają samozaparcie.

Obydwaj zgodnie zarobili potem na plus uczestników, wdając się w bardzo ostrą i rzeczową dyskusję na tematy polityczne, choć nie tylko. Jurka pytano na przykład, o jego poglądy na miłość.

Kiedy pewnego wieczora do stołówki pełniącej rolę równocześnie salonu, świetlicy i klubu dyskusyjnego zajrzał świeżo przybyły z Warszawy redaktor naczelny „Na przełaj" powitał go radosny wrzask: o, Janek, fajnie, że jesteś, ale dlaczego w garniturze?

Któreś scharakteryzowało ten obóz tak: 10 dni mówienia do 5 nad ranem. To oczywiście lekka przesada, ale dużo było tego mówienia o sprawach, które wydawały się ważne Oli, Robertowi, Gośce, Wernerowi i ich kolegom.

* * *

Nie tylko to jednak, że wszyscy zżyli się i zaprzyjaźnili ze sobą w błyskawicznym tempie i długie nocne godziny trwali na rozmowach o wszystkim - stanowiło o urodzie obozu, zorganizowanego na zakończenie wakacji przez „Na przełaj".

Największą jego zaletą było to, że w Bobięcinie koło Miastka spotkali się ludzie nieobojętni, którzy myślą podobnie i czują podobnie, którym zależy... i jeszcze - nie podoba się.

Zależy im na tym, żebyśmy wszyscy żyli w kraju pięknym, czystym i przyjaznym człowiekowi. Żebyśmy nie niszczyli bez opamiętania przyrody, bo nikt już nie ma złudzeń, że ta wszystko zniesie. Nie podoba się, że mimo deklaracji i szumnie brzmiących apeli o potrzebie pokoju, świat nadal sposobi się do wojny, że ludzie nie chcą stanąć murem i powiedzieć politykom: dość! Dość igrania z naszym losem. I że „po drodze" do wojny człowiek sam siebie wyniszcza rujnując środowisko, w którym żyje.

Można wzruszyć ramionami: no i co z tego? Tak myślą wszyscy rozsądni i porządni ludzie. Nikt nie chce wojny i nikt nie chce żyć wśród zdewastowanej przyrody z maską gazową na twarzy.

Ci, którzy odpowiedzieli na „naprzełajowe" hasło „WOLĘ BYĆ" różnią się od nas wszystkich tym, że od deklaracji przeszli do konkretów. Oni po prostu nie chcą rozpamiętywań i narzekań. Chcą umiejętności i wiedzy, która pozwoli im na konkretne działanie. Na rozsądną, pozbawioną egzaltacji walkę o pokój na świecie, na rzeczowe zabiegi o ratowanie zniszczonego środowiska naturalnego i zapobieganie jego dewastacji i degradacji.

Świat nie chce zaczekać, aż uporamy się z naszymi kłopotami, idzie naprzód w dobrym i złym. Za chwilę - dwudziesty pierwszy wiek. Stoimy u progu nowego. Jeśli nie spełnimy pewnych warunków, nie będziemy równoprawnymi partnerami świata. A co najgorsze - odpowiedzialność za to, co „potem" za dwadzieścia, trzydzieści lat - spadnie na dzisiejsze nastolatki. Trzeba się więc przygotować do życia w zupełnie nowych warunkach. Nowoczesność to nie tylko komputery i rakiety - to przede wszystkim nowy i nowoczesny sposób myślenia.

Dużo się o tym mówiło na obozie.

* * *

„Będą mówić, że jesteście naiwni - bo młodzi. Będą twierdzić, że nie warto podejmować jakichkolwiek działań, jeśli sukces nie jest w zasięgu ręki. Będą was racjami swego doświadczenia przekonywać, iż sens życia tkwi w poprzestaniu tylko na tym, co każdy zdoła wokół siebie zgromadzić: trochę różnych rzeczy, trochę bliskich osób.

Egocentryzmowi zasadzie MIEĆ możemy przeciwstawić życie podporządkowane filozofii „BYĆ", która wcale nie oznacza, że powinniśmy porzucić myśl o zaspokajaniu naszych

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

Wszystkie tropy wiodą do Shaolin Si (1)

ATAK NASTĄPIŁ NOCĄ

Narada była ściśle tajna. Nic dziwnego - wymagała tego wyjątkowo groźna sytuacja. Chińska ludność ciągło burzyło się przeciwko zaborczości Mongołów, którzy pod wodzą Czyngis Chana podbili kraj. Właśnie mongolski namiestnik okręgu jednej z prowincji wysłuchiwał wieczornych raportów swych oficerów. Krótko formułowono wieści były złe: ogień buntu pożerał coraz to nowe obszary, chińscy chłopi-rebelianci umieli w walce wykorzystać do maksimum miejscowy teren, należało spodziewać się nowych ataków zbrojnych...

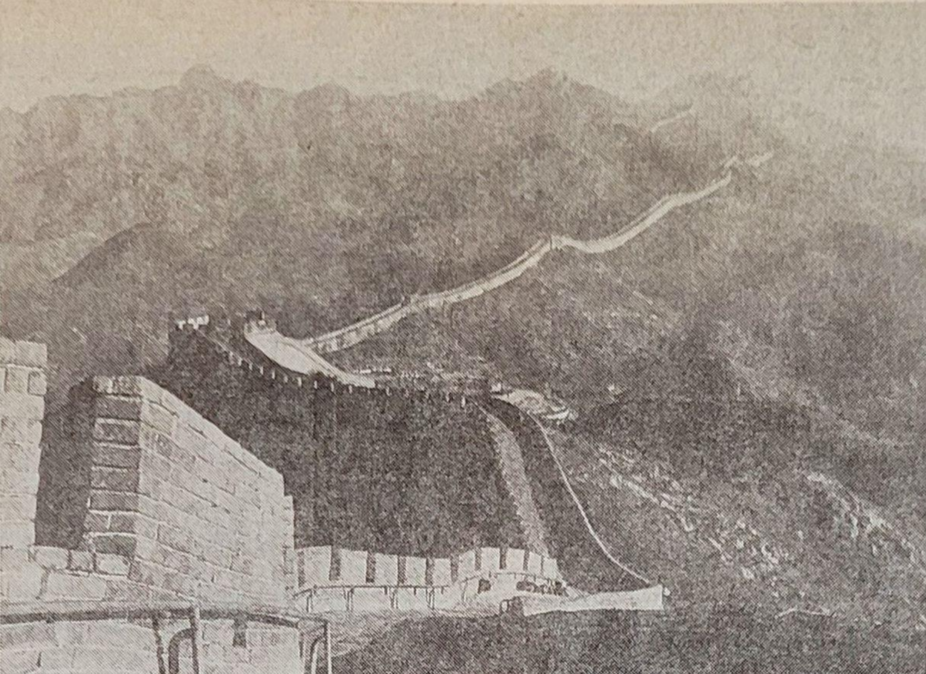
W tym momencie do sali obrad wbiegł *pe-hu-* setnik, dowódca zwiadu. Pokłoniwszy się do ziemi, przysunął się na kolanach ku prawemu uchu namiestnika. W miarę, jak referował szeptem najnowsze wieści, twardniały rysy twarzy dostojnika. A potem, gdy ów rzucał nowe rozkazy, członkowie narady wyczuli w jego głosie cień zdenerwowania i jakby dalekie echo... strachu. „Podwoić straże; częściej je zmieniać; zapalić wokół twierdzy stosy drewna, niech dają światło aż do świtu. Wszystkich podejrzanych chwytać i wiązać jak dzikie bestie. Do straży w korytarzach i przy komnatach wybrać najpewniejszych". Stosowny gest ręki, nakazujący uczestnikom tajnej narady rozejście się, nie był tak pewny, jak kiedyś...

Było już po północy. Straże i patrole, mimo ciągłego ruchu i zmian - pełne napięcia i nerwowego oczekiwania. Od ciągłego wpatrywania się w ciemność migającą płomieniami ognisk od wiejącego wiatru - łznwiły oczy, a noc wydawała się polna zjaw i duchów. W pewnym momencie w dymie z płonących stosów straż na flankach zaczęła wyczuwać jakieś miłe, słodkawe zapachy, które już po chwili sprawiły, że żołnierze zaczęli jakby śnić na jawie. Toteż zjawami sennymi wydały im się postacie, które tu i ówdzie wyłaniały się zza balustrad, bo jak ludzie mogliby się tak wyso... Myśl została przerwana nieznacznym dotykiem „zjawy". W absolutnej ciszy, bez użycia broni, wtopieni w tło napastnicy błyskawicznie unieszkodliwiali straże i przenikali do wnętrza twierdzy.

Jedni, jak koty, tylko o wiele sprawniej i ciszej, a przede wszystkim „niewidocznie", wdrapali się po belkowaniu strażnic oraz korytarzy i zawiśli pod sufitami w oczekiwaniu na kolejny znak. Inni - przewróciwszy na drugą stronę swe opończe, upodobniali się do... ścian i sprzętów. „Grupa uderzeniowa" natomiast podążała bezbłędnie ku komnatom namiestnika, ale tu napotkała oddział wzmocnionej straży. I wtedy się zaczęło... Bez mieczy i noży „zjawy" podnosiły ręce a z dłoni ich wystrzeliwały „jak sto słońc" pioruny, których „blask raził oczy i rozum, dym i smród tłumiły oddech, a huk rozsadzał czaszki". Tysiące najsroższych demonów nie spowodowałby okropniejszego piekła!!! Ci ze strażników, którym udało się ujść, w panice walili się w ciemność. Od belek i sufitów odrywali się przyczajeni napastnicy, spadając jak sępy na upatrzone ofiary; żaden skok nie chybiał celu...

Udało się pojmać żywcem namiestnika. Kilku napastników wtopiło się z nim w noc, znikając w niewiadomym kierunku. Pozostali „zamieniali się w wielkie nietoperze i odtruwali z flanków i strzelnic-jak zeznawali nieliczni świadkowie - a za nimi wybuchł ogień..."

Tak odtworzyć można jeden z nocnych ataków chińskiego oddziału specjalnego przeznaczenia. W opisywanych czasach, w okresie podboju Chin przez Mongołów w początkach XIII wieku, istniały już takie - jakbyśmy je dziś nazwali - „oddziały komandosów" czy „brygady do działań specjalnych". Składały się z Chińczyków niewiarygodnie wręcz sprawnych fizycznie, przygotowanych psychicznie i nader przemyślnie wyekwipowanych. Niewielka ich garstka była w stanie bez konwencjonalnej broni - mieczy, łuków, noży, halabard czy tarcz i zbroi - rozbijać w proch i pył patrolujące oddziały uzbrojonego po zęby przeciwnika, dostawać się w celach dywersyjnych i sabotażowych do zamkniętych i strzeżonych twierdz, przeprowadzać przeróżne akcje, które zadziwiały brawurą, pomysłowością, niesamowitością. Takie „tajne oddziały" składały się głównie z mnichów, mających opanowaną do perfekcji sztukę wushu i młodych, ale doświadczonych żołnierzy po specjalnym przeszkoleniu. Służyli oni nie tylko ludziom bogatym, często bywali „na żołdzie" różnego rodzaju powstań chłopskich - narodowych lub antyfeudalnych. A nawet wynajmowani byli do zwalczania nękających ludność zbójeckich band. Podobne do opisanego wyżej zdarzenia mogły więc mieć miejsce zarówno w połowie XIV wieku, za panowania mongolskiej dynastii Juan, kiedy ludowe powstanie „Czerwonych Turbanów" zagroziło nawet ówczesnej stolicy Tatu czyli Pekinowi, jak i w połowie XVII wieku, w czasie powstań antyfeudalnych i antymandżurskich.



WIELKI CHIŃSKI MUR - Wan-li czang-czeng — miał w okresie swego „rozkwitu" długość 6450 kilometrów. Dziś resztki murów mają długość 3,5 tys. km i są widoczne gołym okiem z załogowych statków kosmicznych. Budowę muru zaczęto jeszcze przed naszą erą. Miał praktycznie i symbolicznie chronić Chiny przed najazdami. Czy mu się to udało?

Czy takie „komandoskie" wyczyny były w ogóle możliwe? Włoscy i zachodnioniemieccy znawcy przedmiotu - na podstawie szczegółowych studiów m. in. mało zbadanej dotychczas korespondencji europejskich kupców i dyplomatów w Chinach twierdzą, że opisane wyżej sposoby, to ledwie garstka z bogatego, utrzymywanego w sekrecie arsenału środków i forteli.

Wielometrowe, cieniutkie i lekkie, a niezmiernie wytrzymałe linki, pleciono z końskiego włosia lub włosów ludzkich, zakończone haczykami-kotwicami, pomagały skutecznie wdrapywać się na strome mury obronne, skały, drzewa. Członkowie grup dywersyjnych znali także doskonale możliwości zastosowania w walce ziół i to nie tylko jako trucizny do strzał, ale także m. in. do odurzających przeciwnika i halucynogennych zasłon dymnych, trucizn do skażania jadła i wody, czy wreszcie do przyrządzania znakomitych... lekarstw choćby np. tamujących krew, przyspieszających gojenie się ran, łagodzących urazy i zwalczających infekcje.

Rodzaj rękawic oraz sandałów, zaopatrzonych w przemyślny system kolców i haczyków pomagał wdrapywać się błyskawicznie i bezszelestnie na gładkie słupy i drzewa oraz zawisać dzięki tym prostym urządzeniom całymi godzinami w bezruchu w zasadzkach na dużych wysokościach bez utraty sił w mięśniach.

A owe „pioruny rażące rozum"! To nie były żadne pistolety. Ale i to zjawisko tłumaczy się znacznie prościej niż by się to wydawało. O tym i innych sekretach - w następnym odcinku.

JAST

Klub Przyjaciół Parowców Wiślanych wspólnie z Urzędem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej ogłasza konkurs z nagrodami pod hasłem:

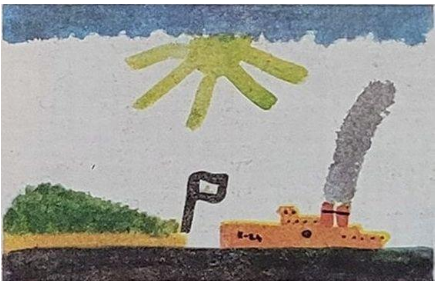
„WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO WÓD ŚRÓDLĄDOWYCH"

Celem konkursu jest zainteresowanie wszystkich problematyką czystości wód śródlądowych, prawidłową gospodarką, komunikacją i wypoczynkiem nad rzekami i jeziorami, a także pokazanie pracy ludzi zatrudnionych przy ochronie i eksploatacji dróg wodnych.

Na konkurs można nadsyłać:
- **rysunki lub akwarele**
- **fotografie** (minimum formatu 24x30 cm)
- **modele dawnych statków**
- **piosenki dla dzieci i młodzieży**
- **małe formy literackie** (nowele, wspomnienia, opowiadania, wiersze. Należy je przesłać w dwóch egzemplarzach o objętości do 10 stron tekstu.)

Rysunki, akwarele, fotografie prosimy podpisać na odwrocie. Inne formy - oznaczone godłem z dołączoną kopertą z podaniem imienia, nazwiska, adresu oraz wieku autora.

Prace należy kierować do dnia 1 listopada br. pod adresem: **Klub Przyjaciół Parowców Wiślanych przy Klubie Osiedlowym Bielany, ul. Daniłowskiego 24, 01-833 Warszawa.**



Rysunek przysłany na ubiegłoroczny konkurs przez ucznia II klasy Michała Jurkiewi z Warszawy

Jeśli szybko nie podejmie się prac konserwatorskich, zabytkowy „Traugutt" zostanie ostatecznie zżarty przez rdzę

Fot. **Justyn Opara**

Parostatkiem w piękny rejs...?

Jeszcze do niedawna poczciwe parowce były nieodłącznym elementem wiślanego pejzażu. W latach 60 po Wiśle pływało kilkanaście pasażerskich bocznokołowców, wożąc wycieczkowiczów na majówki i pikniki do Młocin, Bielan, Kazimierza. Wisła była wtedy żeglowna na większym odcinku i wypływano także na dłuższe trasy. Ogromnym powodzeniem cieszyły się rejsy wczasowe z Warszawy do Gdańska i z powrotem.

Z czasem jednak wysłużone parowce zaczęto zastępować nowoczesnymi statkami spalinowymi. W „czarnym" dla wiślanej żeglugi roku 1966 zakończyło swój żywot 8 parostatków! Część pocięto na złom, inne przerobiono na pływające hotele. Dni pozostałych jednostek parowych były także policzone. „Bałtyk", „Racławice", „Świerczewski", „Kościuszko" - kolejno kończyły swój żywot. Żegluga Warszawska ofiarowała je różnym klubom i instytucjom, gdzie zostały beztrosko zdewastowane. „Traugutta" - „ostatniego Mohikanina" licznej niegdyś wiślanej flotylli parowców - uratowała przed złomowaniem decyzja uznająca ten relikt przeszłości za zabytek. Przycumowany do nabrzeża Portu Praskiego przez kilka lat spokojnie rdzewiał oczekując lepszych czasów. W zeszłym roku odholowano go na pochylnię portu rzecznego w Płocku, ale nadal brakuje funduszy na podjęcie prac remontowych. (Reportaż „Ostatni rejs Traugutta?" zamieściliśmy w 65 numerze „ŚM".)

W 1981 roku grupa entuzjastów skupiająca przedstawicieli różnych organizacji związanych z żeglugą postanowiła uchronić od zagłady dogorywające w różnych zakątkach Polski parowce, tworząc **Klub Przyjaciół Parowców Wiślanych**. Pod jego patronatem organizowane są odczyty, wystawy*, konkursy. Klub regularnie wydaje biuletyny, alarmuje konserwatora zabytków i władze miasta...

W zeszłym roku działacze Klubu zwrócili się do prezydenta Warszawy z propozycją utworzenia na Cyplu Czerniakowskim skansenu Żeglugi Wiślanej... Na początek postuluje się umieszczenie tam historycznego holownika „Warmia" i lodołamacza „Jaguar". Plany są ambitne. W przyszłości myśli się o uruchomieniu regularnych rejsów parowcem po środkowej Wiśle. To dopiero byłaby atrakcja!

Można chyba żywić nadzieję, że ojcowie miasta z Syrenką w herbie pozytywnie odniosą się do tego przedsięwzięcia, chroniąc od zapomnienia cząstkę naszej .historii... (**jo**)

*** od września w KMPiK-u przy ul. Brechta w Warszawie czynna jest wystawa fotograficzna „Warszawa, Wisła, Warszawiacy". Zapraszamy!**

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu - mówi stare przysłowie. Jedna z moich tegorocznych dróg zawiodła mnie właśiie do stolicy Włoch. Pospacerujmy więc razem po „wiecznym mieście", obejrzyjmy jego historyczne budowle i osobliwości. Zapraszam...

Rzymskie wędrówki (1)

AB URBE CONDITA...

Być w Rzymie i nie oglądać zabytków? To zupełnie niemożliwe - spotyka się je tutaj dosłownie na każdym kroku. Ba, ale ja chciałem bardzo zobaczyć coś naprawdę starego, symbol miasta - wilczycę karmiącą bliźnięta Remusa i Romulusa. Bo taki właśnie jest po dziś dzień herb miasta. Ma Warszawa swoją syrenę, ma Berlin w herbie niedźwiedzia, ma więc Rzym wilczycę z bliźniakami. Legenda mówi, że byli to synowie westalki Rei Sylwii i boga wojny Marsa, porzuceni nad brzegiem Tybru i wykarmieni mlekiem właśnie przez wilczycę.

Znalazłem tę całą trójkę wcześniej niż się spodziewałem i w dodatku nad.... brzegiem Tybru. Wybrałem się oto pewnej niedzieli do przyjaciół mieszkających w Villaggio Olimpico - wiosce olimpijskiej z 1960 r. Przechodząc rzekę po moście Flaminio stanąłem oko w oko z wilczycą i bliźniakami. Spójrzcie na **zdjęcie nr 3 -** wyrzeźbione są w kamieniu, a biel surowca na tle błękitu nieba aż w oczy razi.



Krótko cieszyłem się moim odkryciem, bo wnet okazało się, że właściwy wizerunek wilczycy i bliźniąt pieczołowicie przechowuje się w Muzeum Kapitolińskim. Jest to statua etruska z brązu z pierwszych lat V wieku przed naszą erą. Właściwie tak stara jest tylko wilczyca, zaś figurki obu bliźniaków są młodsze o prawie dwa tysiące lat. Wykonał je florencki rzeźbiarz Antonio del Pollaiolo i zostały wkomponowane w rzeźbę w XV wieku.

Teraz mogę wyjaśnić tytuł tej pierwszej rzymskiej wędrówki. Ab urbe condita - oznacza po łacinie „od założenia miasta". Tym terminem określa się początek ery rzymskiej - 753 rok przed naszą erą. Zaiste, odległe są czasy narodzin rzymskiego herbu...

Stosunkowo bliskie mu na rzymskiej osi czasu jest Koloseum (**zdjęcie nr 1**), zwane pierwotnie amfiteatrem Flawiuszów. Mam nadzieję, że dokładniej o tym obiekcie napisze rzymski korespondent „Świata Młodych". Ja odnotuję tylko, że gdy w roku 80 n.e. - za panowania cesarza Tytusa - oddawano ten kolosalny amfiteatr do użytku, przez sto dni bez przerwy toczyły się na jego arenie igrzyska i walki z dzikimi zwierzętami, których padło wtedy pięć tysięcy.... Przyznam, że nie bardzo mogę zrozumieć, jak przetrwała do dziś ta imponująca budowla, która miała arenę o powierzchni 36 arów, a jej cztery piętra wznoszą się na wysokość 57 metrów.



Przecież wystarczyło silniejsze trzęsienie ziemi...

Właśnie - trzęsienie ziemi, po włosku *terremoto*. Przeżyłem jedno z nich w Rzymie przed paroma laty. Nie spowodowało wówczas zniszczeń, wywołało natomiast sporo obaw i nieco paniki. Kiedy teraz spacerowałem po antycznym Forum Romanum, kiedy patrzyłem na monumentalny, ale wyjątkowo harmonijnie proporcjonalny Łuk Septymiusza Sewera, wzniesiony w 203 r. n.e. (**zdjęcie nr 2**), na liczne pojedyncze strzelające ku niebu kolumny - przypomniałem sobie, że wówczas, natychmiast po trzęsieniu, sprawdzono z pomocą dziesiątków wysięgników i przy użyciu setek czujników i innych precyzyjnych przyrządów, czy tysiącletnie zabytkowe budowle nie ucierpiały, czy nie grożą zawaleniem, czy są ciągle dostatecznie bezpieczne dla milionów turystów. Rzymianie są bardzo uczuleni na te niebezpieczeństwa, może - mówiąc żartem - pamiętają stale pewną starą przepowiednię, głoszącą że, „kiedy runie Koloseum, runie także Rzym, a kiedy runie Rzym, nastąpi koniec świata". Ale i Koloseum po ostatnich konserwacjach trzyma się znośnie, i cały Rzym miewa się nieźle. Zaproszę więc wkrótce na następną rzymską wędrówkę.

Ciao!

Tekst i zdjęcia:

JAN STYKOWSKI

WOLĘ BYĆ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

elementarnych potrzeb. Wprost przeciwnie: życie w niedostatku pozbawia człowieka poczucia godności, a filozofia „BYĆ" sprowadza się do tego, żeby człowiekowi tę utraconą godność, a zarazom poczucie sensu życia i harmonii ze światem przywrócić". Tak pisał „Na przełaj" przed rokiem, szukając sojuszników i entuzjastów dla swojej akcji-oferty dla wszystkich. Obóz zorganizowano żeby się poznać, a także poszukać odpowiedzi na pytanie: co dalej z „Wolę być".

Zgłoszeń było bardzo dużo: niektórzy deklarowali chęć wzięcia w nim udziału, bo w zapowiedziach była mowa o komputerach, które miały stać do dyspozycji uczestników. Koniec końców nie stały - nie udało się załatwić, będą na pewno w przyszłym roku. Niektóre, ale tylko niektóre dziewczyny pisały, że kochają kwiatki, ptaszki i zachód słońca na nie skażonym niebie. Większość przysłała rzeczowe listy, w których tłumaczyła, dlaczego zależy im na udziale w takim właśnie obozie.

Iwona i Olka z Warszawy działają w młodzieżowej grupie „Pokój", chłopcy z drużyny „Radiostopy" z Dzierżoniowa interesują się bardzo serio ekologią już od dłuższego czasu. Małgośka, Joaśka, Sylwia, Ulka są harcerkami, chciałyby zainteresować „Wolę być" swoich przyjaciół z drużyn. Aśka drużynowa zuchowa mnóstwo się napracowała robiąc niezliczone notatki ze wszystkich spotkań, z krążących wśród uczestników obozu książek i artykułów. Zamierza zrobić z tego wszystkiego użytek podczas pracy ze swoimi zuchami. Jak? O tym jeszcze pomyśli. Robienie notatek było zresztą w wielkiej modzie wszystkiego zapamiętać się nie dało, a ludzie naprawdę chcieli się czegoś na tym obozie nauczyć, choć nikt ich nie zmuszał i nic nie było obowiązkowe.

Czego można się było nauczyć i dowiedzieć? Można było obejrzeć budującą się elektrownię atomową jej zwolenników i przeciwników, podyskutować z wicepremierem Edwardem Kowalczykiem na temat politycznych aspektów ekologii, posłuchać mądrego wystąpienia profesora Trojana, przewodniczącego Komitetu Ekologii PAN.

Doktor Krasucki mówił o zależnościach między warunkami w jakich człowiek żyje, a jego zdrowiem, Andrzej Deja z Urzędu Gospodarki Morskiej i Ochrony Środowiska przedstawił raport o ochronie środowiska. Można się było także dowiedzieć, jak dyskutować i bronić racji, jak i gdzie szukać sojuszników. Do tego dochodziły owe długie nocne rodaków rozmowy o polityce, szkole, harcerstwie, przyjaźni, miłości, muzyce... o wszystkim niemal.

- To było najwspanialsze - twierdzi Małgorzata z Koła - mogliśmy mówić, wiedząc, że zostaniemy życzliwie wysłuchani, jak trzeba, sprowadzeni na ziemię, jak trzeba - podtrzymani na duchu. Nauczyliśmy się tolerancji, umiejętności słuchania innych ludzi i szanowania ich poglądów, nawet jeśli są całkiem inne od naszych. Niektórzy z nas dopiero tutaj odważyli się publicznie zabierać głos, a to bardzo ważne dla człowieka, który nie tylko rozczulałby się nad ginącymi trawkami ale chciałby coś dla tych trawek zrobić. Czy możliwe jest osiągnięcie tego wszystkiego przez dziesięć krótkich wakacyjnych dni? Małgorzata twierdzi, że tak.

* * *

Nie umówili się wcale co do tego, ze zaraz po wakacjach „Wolę być" zafunduje sobie specjalne znaczki (choć niektórzy twierdzą, że małe zielone serduszko w klapie to byłby wspaniały sygnał dla wszystkich, którzy „wolą być"). Ani że uchwalą statut, program działania i powołają swojego prezesa.

Nic z tych rzeczy. Po prostu - będą działać: szukać sojuszników, podejmować się spraw możliwych do załatwienia u nich na miejscu, w szkole, w mieście. Będą docierać do ludzi odpowiedzialnych za przemysł, gospodarkę, zarządzanie, zadawać im trudne pytania, czekać na odpowiedź. Będziemy się naprzykrzać - mówią - ale nie tak, żeby po kilku naszych wizytach uciekano przed nami mówiąc „o, znowu przyszedł ten fanatyk". Będziemy się starać namawiać ludzi do pomocy w załatwianiu spraw ważnych dla naszego środowiska, a jeśli uda się coś załatwić, to cały splendor oddamy naszym sojusznikom, niech wierzą, że jak się chce, to można coś zrobić zlikwidować jakieś szczególnie brzydkie miejsce, spowodować, żeby ludzie i instytucje bezmyślnie nie brudzili i nie niszczyli. Że w pojedynkę nic się zrobić nie da? - No wiesz, jak możesz tak mówić, oburza się Beata ze Śląska, która mieszka naprzeciwko huty i bardzo dobrze wie, co to tęsknota za świeżym powietrzem. Musimy nauczyć się niezgody na to, co niedobre wokół nas. I musimy znaleźć sposoby na przeciwstawienie się temu.

Wysłali już listy do tych, którzy nie zakwalifikowali się na obóz. W październiku spotkają się po raz pierwszy - i nie ostatni, żeby wymienić doświadczenia, „namówić się" - co dalej. Wierzą, że tych, co „wolą być" ciągle będzie przybywać. Mozę także trochę, troszeczkę, dzięki nim?

DANUTA ZDANOWICZ

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

STYLISTYKA

Po opublikowaniu ostatniego artykułu z tego cyklu napływają systematycznie Wasze propozycje stylistyczne. Z dużej liczby opracowań, jako najbardziej interesujące, wybrałem prace **Ryszarda Nowickiego z Wrocławia** oraz **Marka Szantera z Rogoż** w województwie olsztyńskim.

Pierwszy z autorów przedstawił propozycje stylistyczne nieomal dla wszystkich pojazdów samochodowych produkowanych w kraju, wraz z opisami dotyczącymi zastosowania przy ich .budowie nowych materiałów, bogatego ich wyposażenia i wszechstronnych zalet. Całość propozycji jest bardzo interesująca lecz pełna ich realizacja nawet w krajach o najbardziej rozwiniętej technice motoryzacyjnej byłaby prawdopodobnie bardzo trudna do realizacji.

W wielu stylistycznych rozwiązaniach Ryszarda razi też nadmierna szerokość pojazdów, która w rzeczywistości przekraczałaby granicę 2.5 m, ustaloną dla pojazdów samochodowych poruszających się po naszych drogach.

Z przesłanych projektów wybrałem jako najbardziej interesujące rozwiązanie stylistyczne nadwozia, proponowanego przez, autora dla samochodu ŻUK (rysunek nr 1), który jak wiadomo spełnia funkcją samochodu dostawczego. Z opisu zaś wynika, że ma to być pojazd „wszechstronnie" terenowy, a więc projekt ten bardziej pasowałby do samochodów TARPAN, produkowanych przez Fabryką Samochodów Rolniczych w Poznaniu.

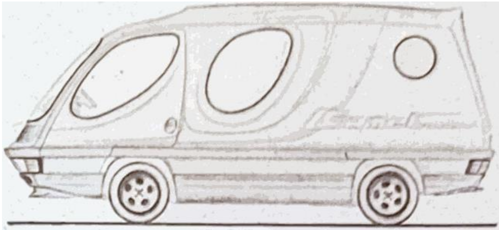
Za przesłane projekty przyznaję Ryszardowi Nowickiemu odznakę Motoeksperta Świata Młodych.

Projekty wykonane przez Marka Szantera cechują się zręczną ostrością kształtów, a najbardziej krańcowe rozwiązania linii nadwozi zaprezentowane w niektórych jego rozwiązaniach można niekiedy przyrównać do... rogów nosorożca. Być może dzięki temu przestawione projekty wyróżniają się dużą oryginalnością, co jednakże nie oznacza, że autor ustrzegł się powielania już Istniejących rozwiązań.

Projekt zmodernizowanego nadwozia dla POLONEZA w wersji przedstawionej przez Marka sprawia wrażenie, że samochód ten byłby jeszcze bardziej ociężały i wyglądem swym zbliżony do dawnych amerykańskich „krążowników szos". Z tego powodu nie prezentuję go.

Z pozostałych prac Marka przedstawiam projekt nadwozia dla samochodu dostawczego oznaczonego przez autora marką Camel (rysunek nr 2). W naszych warunkach takie nadwozie pasowałoby do mikrobusu NYSA, czemu więc autor nadał mu nazwę pochodzenia zagranicznego, trudno mi zrozumieć?





Nie jest to tylko skłonność, w którą popadł autor omawianego projektu, lecz większość z Was oznacza swoje pomysły zagadkowo brzmiącymi, zagranicznymi wyrazami. Czyżby w naszym języku brakowało ładnie brzmiących i atrakcyjnych nazw dla projektowanych przez Was samochodów?

Markowi Szanterowi przesyłam również odznakę Motoeksperta Świata Młodych.

Informuję wszystkich, którzy zechcą przysłać swoje projekty, że będę również nagradzał te oznaczone przez autorów oryginalną i ładną polską nazwą.

Nadal oczekuję na propozycje rozwiązań stylistycznych dla wszystkich produktów naszego przemysłu motoryzacyjnego, a szczególnie na nowoczesny projekt autobusu, ponieważ z dotychczas przesłanych żaden nie wyróżnia się oryginalnością godną do zaprezentowania.

Przypominam, że autorzy publikowanych rozwiązań zostaną uhonorowani odznakami Motoeksperta Świata Młodych.

ZENON DUTKIEWICZ



Temat miesiąca

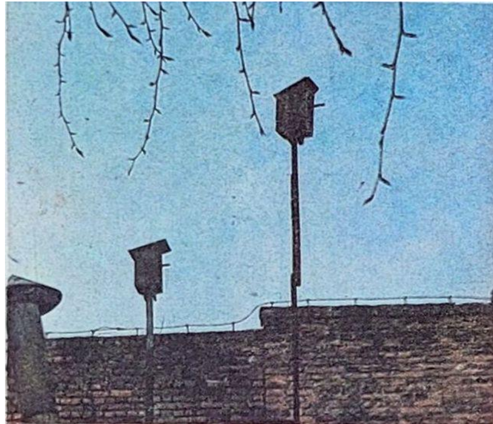
Jaki domek dla kogo?

Zda się - temat zupełnie teraz, jesienią nieodpowiedni, bo dotyczy skrzynek lęgowych. Skoro te skrzynki są l ę g o w e, no to powinniśmy o nich pisać raczej wiosną. Uczynimy to jednak właśnie teraz. Po pierwsze dlatego, że nagromadziło się już listów z prośbami typu: przedstawcie skrzynki i ich wymiary, napiszcie, gdzie je wieszać itp. Odkąd klub klubem - takie pytania nadchodziły i będą nadchodzić dalej. No, a po drugie — to jesień jest bardzo stosowną porą roku po temu, by zawiesić wykonane skrzynki. Bowiem chętnie wykorzystują je teraz, do celów mieszkaniowych, a nie lęgowych, zimujące drobne ptaki, w pierwszym rzędzie sikory.

Najczęściej zwracacie się w listach o podanie dokładnych wymiarów skrzynek dla różnych gatunków ptaków. Podajemy je niżej, przyjmując za wzorzec proporcji tzw. skrzynkę Sokołowskiego. Jest to skrzynka najbardziej typowa i popularna, można rzec — klasyczna. Ot, drewniany domek z opadającym ku przodowi daszkiem. Skrzynki Sokołowskiego dla różnych gatunków różnią się tylko wymiarami, zaś kształt mają taki sam, jak również zbliżone proporcje. Dlatego nie przedstawiamy każdej z tych skrzynek na rysunkach, a tylko podajemy ich szczegółowe wymiary. Powinno to całkowicie zadowolić konstruktorów. Dodajmy, że dno skrzynek jest kwadratowe (więc podajemy tylko jeden wymiar dna), zaś otwór wlotowy okrągły.

Sikory. Bok kwadratowego dna 13 cm, wysokość ściany przedniej 25 cm, tylnej 27 cm, średnica otworu 3 - 3,5 cm.

Szpak. Bok dna 15 cm, wysokość ściany tylnej 38 cm, średnica otworu 5 - 5,5 cm.



Nawet i w taki sposób można umieścić skrzynki lęgowe. Jest to już jednak ostateczność. Miejsc, gdzie nie byłoby choć jednego drzewa, na szczęście jeszcze jest niewiele. Ptaki zaś najchętniej zamieszkują skrzynki umieszczone wśród zieleni. Najlepiej zawieszać je na drzewach nie za gęstych i nie za rzadkich. W skrzynkach zaś tak umieszczonych, jak te na zdjęciu, zamieszkać mogę raczej tylko szpaki i wróble. Oczywiście dobre i to.

Teksty i zdjęcia:
TOMASZ KŁOSOWSKI

Kraska, siniak, kawka. Bok dna 19 cm, wysokość ściany przedniej 40 cm, tylnej 43 cm, średnica otworu 8 - 8,5 cm.

Puszczyk. Bok dna 30 cm, wysokość przedniej ściany 50 cm, tylnej 55 cm, średnica otworu 12 - 15 cm.

Uwaga! Dość ważne jest, by otwór wlotowy, zwłaszcza w skrzynkach dla małych ptaków, nie był większy, niż wyżej podany. Chroni to ptasi domek przed niepożądanymi gośćmi, także pierzastej postaci. Np. sikory bywają nader często wypierane przez wróble. Można próbować zapobiec temu, budując skrzynkę o jak najmniejszym otworze, a więc nie 3,5 cm, ale 3 cm. Poza tym — przez nazbyt duży otwór łatwo wetknie łapę kuna, albo dziób - sroka. – Zatem - uważajmy na tę okoliczność.

Zdarza się, że niszczycielami skrzynek są dzięcioły. Fakt, że rozkuwają one otwory skrzynek, nie świadczy oczywiście o jakiejś ich „złośliwości", czy „wandalizmie". Po prostu niejedna para zajmuje skrzynkę dla odbycia w niej lęgów, a że w okresie lęgowym ptaki te odczuwają wzmożoną potrzebę wykuwania otworów w drewnie celem dorobienia się gniazda — więc wyładowują tę potrzebę, nie bacząc, że nie ma to sensu, skoro posiadły za sprawą człowieka gotowe domostwo. Po prostu-idą za głosem instynktu. Aby zabezpieczyć ptasi domek przed taką działalnością dzięciołów, dobrze jest otoczenie otworu skrzynki obić: blachą.

Częste pytanie: z jakiego materiału zrobić skrzynkę? Najlepsze jest sosnowe, nieheblowane drewno. Do innych materiałów — także drewnopodobnych - ptaki mogą niekiedy odnieść się z rezerwą. Np. podczas klubowej akcji wieszania skrzynek w Białołęce (lata 1979-81) zauważyliśmy, że ptaki pogardzają skrzynkami z drewna laminowanego, uzyskanego z rozbiórki starych mebli. Dlaczego — trudno dociec, trzeba by umieć spojrzeć na ten materiał ptasim okiem. A że tego nie umiemy, lepiej nie eksperymentujmy zbytnio z materiałami, skoro zwykła deska okazała się najlepsza.

Czy przybijać do skrzynki jakieś drążki, by ptaki mogły na nich siadać — pytacie. Raczej nie, bo mieszkańcom skrzynek nie są one potrzebne, potrafią uczepić się i bez takiej pomocy u wylotu skrzynki, a za to mogą ułatwić działalność drapieżnikom.

W którą stronę ma być zwrócony otwór wlotowy skrzynki? Z obserwacji terenowych wynika, że nie ma to większego znaczenia. Jedynie kierunek południowy jest mniej pożądany, bo wtedy skrzynka zbytnio się nagrzewa, zwłaszcza, gdy wisi w nasłonecznionym miejscu.

O tym, gdzie i jak wieszać skrzynki lęgowe, można by pisać bardzo dużo. Dziś zakończymy na tych kilku, wyszperanych z listów, sprawach. Jeżeli macie więcej pytań związanych z budownictwem mieszkaniowym dla ptaków - to czekamy na listy. I jeszcze jedno przypomnienie. Budujcie skrzynkę tak, by była ona otwierana. Wtedy można nie tylko dyskretnie obserwować wiosną przebieg lęgu, ale też na progu jesieni dobrze domek wyczyścić zimą sprawdzić - po obecności odchodów - czy ptaki korzystają z niego jako z zacisznej sypialni.

ZADANIA NA PAŹDZIERNIK

1. Zaobserwujcie i napiszcie, kiedy w Waszej okolicy samce kaczek, zwłaszcza krzyżówek, przywdziały szaty godowe. Obserwujcie pilnie przez jesień i początek zimy rozpoczynające się kacze gody. Zwróćcie też uwagę, czy w okolicy, gdzie prowadzicie obserwacje, kaczki tworzą zawsze zgrupowania wspólne z kaczorami, czy też np. zdarza się, że kaczory tworzą stada odrębne. Czy w ciągu jesieni i zimy widujecie te kaczki również z dala od wody? W jakich miejscach?

Będąc nad wodami, pamiętajcie o naszym nieustającym tegorocznym zadaniu - obserwowaniu mew śmieszek i czapli. Te pierwsze można zresztą obserwować teraz i z dala od wody.

2. W czasie poprzedniej zimy w ramach jednego z zadań przyglądaliśmy się stadom złożonym z drobnych, zimujących ptaków - sikor, pełzaczy, kowalików i in. Chodziło o ustalenie składu gatunkowego tych stad i zauważeniu „podziału ról" w tych stadach. Teraz chcieliśmy Was namówić na obserwowanie dziennych szlaków takich stad. W pobliżu osiedli odwiedzają one zwykle te same miejsca - źródła pokarmu - nawet parę razy z rzędu. Jakie to miejsca, jakiego pokarmu w nich szukają, czy trasa dziennej wędrówki stadka zmienia się z upływem jesieni i zimy?

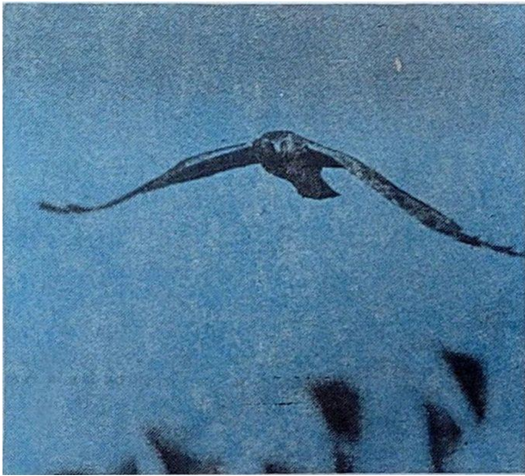
3. W październiku rośnie liczba zadań związanych z pomocą ptakom. Przede wszystkim - to już nieomal ostatni dzwonek, by zbudować karmnik, a na pewno ostatni, by zgromadzić karmę na zimę. Z końcem miesiąca trzeba już być przygotowanym do dokarmiania, bo nigdy nie wiadomo, czy zima nie przyjdzie wcześniej. Kto może, niech też rozwiesi już teraz skrzynki lęgowe - z powodów, o których mowa w „Temacie miesiąca".



W październiku widzimy już obok kaczek godowo upierzone kaczory

Odlatują czy zostają?

Gdy idzie o błotniaki, to prawdę powiedziawszy, nie mamy pewności, czy wszystkie opuszczają nasz kraj na zimę, czy też część zostaje. A jeżeli - to jaka część? Wiadomo, że np. błotniak zbożowy (na zdjęciu samica) dość regularnie zimuje w zachodniej części kraju, czasami w centrum, a we wschodniej (gdzie najliczniej gniazduje) spędza zimę tylko wyjątkowo. O zimowaniu błotniaków: popielatego i stawowego wiemy bodaj jeszcze mniej. A więc dodatkowe zadanie dla bardziej zaawansowanych ptakolubów: zwróćcie podczas jesienno-zimowych obserwacji uwagę na błotniaki. W październiku szanse ich oglądania są spore i to nawet z dala od błot i wód - bo wszystkie błotniaki teraz wędrują. Zdarza się, że tworzą stadka - zwłaszcza stosunkowo jeszcze liczne błotniaki stalowe. Może wpadną wam w oko? A że teraz wędrują i koczują prawie wszystkie ptaki drapieżne - jesień jest wyjątkową okazją do pooglądania ich zgrabnych sylwetek.



OKŁADKA-ZAGADKA

Tydzień temu w artykule Macieja Luniaka „Y.O.C. - czyli czterdziestolecie brytyjskich ptakolubów" zamieściliśmy okładkę ich pisma „BIRD LIFE", na której widniała barwna fotografia rybitwy. Jaki to gatunek rybitwy? - pytaliśmy. Dziś odpowiadamy: rybitwa popielata.

Ku zachęcie...

Nieraz zachęcaliśmy bardziej zaawansowanych ptakolubów, by nawiązywali kontakty z dorosłymi ornitologami, a także różnymi placówkami ornitologicznymi. Podawaliśmy adresy, telefony, nazwiska. Że Warto taki kontakt nawiązać - świadczy choćby fragment tego listu Karola Zuba z wój. białostockiego, niegdyś stałego korespondenta klubu. Karol zrezygnował na pewien czas z ornitologii na rzecz innych dyscyplin zoologii, ale po spotkaniu z ornitologami W Białowieży, gdzie wyjechał do szkoły, znów do niej powrócił...

„Po długim okresie milczenia znów postanowiłem napisać ... Jeżeli chodzi o zainteresowanie ornitologią to zaszły u mnie poważne zmiany. Nauka w Białowieży, a przede wszystkim kontakt z wieloma doświadczonymi ornitologami (jak pan Z. Rewartowski, A. Domaszewicz, G. Pugacewicz, A.Szymura) pozwolił mi na dosyć poważne zajęcie się ptakami. Dzięki pracy m.in. w sekcji ornitologicznej prowadzonej przez pana A. Szymurę mogłem zapoznać się z obserwacją ptaków już traktowaną na serio, naukowo.

W ramach pracy sekcji, która działa, nadal zapoznajemy się z głosami ptaków, poznajemy metody prowadzenia badań ilościowych ptaków, rozpoznawania itp. Podstawą naszej pracy są oczywiście wyprawy w teren. Dzięki pomocy białowieskich ornitologów mogłem poznać wiele ciekawych ptaków. Szczególnie ciekawe są obserwacje sów. „Zaliczyłem" m.in w tym roku sóweczkę, włochatkę, puchacza, ale o tym może napiszę później, gdyż myślę, że czytelników „SM" zainteresują moje spotkania z tymi rzadkimi ptakami. Oprócz tego poznałem oczywiście wiele innych ciekawych ptaków, w tym sporo drapieżników".

Karol Zub, Mońki



KTO OD KOGO ZALEŻY?

Sukces pierwszego koncertu w Paryżu nie spowodował natychmiastowego powodzenia i dochodów. A wydawca nut Schlesinger obiecywał tylko Chopinowi wydanie „Mazurków”, lecz stale je opóźniał. Wydane wreszcie, pod koniec 1832 r., z miejsca zdobyły popularność i przysporzyły sławy autorowi. Po roku Schlesinger głosił wokoło, iż to on właśnie odkrył genialnego kompozytora!

Pewnego razu, gdy znowu przechwalał się swym odkryciem, zjawił się Chopin i zapytał poważnie:

- Czy handlarza rasowymi psami uważa pan za ojca ślicznych piesków? - Schlesinger rozłożył bezradnie ręce.

- A czy handlarza nutami — zadał drugie pytanie Chopin — *uważa pan za autora sprzedawanych przez niego arcydzieł?*

Gromki wybuch śmiechu zebranych uwolnił wydawcę od odpowiedzi.

Fryderyk Franciszek Chopin (22.02.1810—17.10.1849) urodził się w Żelazowej Woli, był „cudownym dzieckiem": od szóstego roku życia grał na fortepianie, pierwszy swój utwór (poloneza) skomponował mając zaledwie siedem lat, a rok później koncertował publicznie. Studiował kompozycję u Elsnera, poznawał muzykę salonową w konserwatorium, a ludową na wsi.

2 listopada 1830 r. opuścił Warszawę i przez Wiedeń, Monachium Stuttgart (tam powstała „Etiuda Rewolucyjna") dotarł we wrześniu 1831 do Paryża, gdzie szybko znalazł uznanie i sławę. Pierwsze lata poświęcił działalności koncertowej, później zarabiał lekcjami. Z racji koncertów obracał się w środowisku arystokracji, przyjaźnił z Mickiewiczem, Norwidem i innymi emigrantami.

W latach 1835-1837 snuł marzenia o małżeństwie z Marią Wodzińską, w latach 1837-1847 przyjaźnił się z George Sand, spędzając u niej w Nohant prawie każde lato. Ostatnie lata życia spędził jednak w osamotnieniu, częściowo z powodu uczynnienia się gruźlicy płuc. W 1848 r. odbył jeszcze tournée po Anglii, dając swój ostatni koncert publiczny 16 listopada w Londynie. Zmarł w Paryżu; pochowany na cmentarzu Père Lachaise. Jego serce znajduje się w kościele św. Krzyża w Warszawie.

Chopin dokonał przewrotu w grze fortepianowej. Najbardziej charakterystyczne dla jego stylu są etiudy i stworzone przez niego nowe formy: preludia i mazurki. Skomponował dwa koncerty na fortepian z orkiestrą, polonezy, mazurki, scherza, ballady, nokturny, pieśni...

„Muzyka Chopina była w swym żywiołowym rytmie polskim, w swej melodii pełnej żalu i tęsknoty, pieśnią narodowej świadomości i buntu wobec przemocy zaborców” — pisał prof. Reiss. Wywarła ona wpływ na rozwój muzyki na całym świecie.

Z inicjatywy pianisty i pedagoga prof. Jerzego Żurawlewa od 1927 r. co pięć lat odbywają się w Warszawie Międzynarodowe Konkursy im. Fryderyka Chopina. W najbliższy wtorek rozpocznie się jedenasty.

Znaczek (jeden z trzech) wydany w listopadzie 1954 z okazji V Konkursu im. Fryderyka Chopina. Proj. Cz. Kaczmarczyk

(kg)
Repr. **M. Włodarski**

ZBIGNIEW BONIEK (obecnie AS Roma) kapitan nasze) reprezentacji, która awansowała niedawno (po raz czwarty z kolei) do piłkarskich mistrzostw świata. Wprawdzie w ostatnim eliminacyjnym meczu z Belgią nie zdobył gola, ale we wcześniejszych pojedynkach bramkarze wyjmowali piłkę z siatki po jego strzałach. A zatem biało-czerwoni wezmą udział w „Mexico '86". W poprzednich MŚ wypadli znakomicie, przypomnijmy: 1974 — trzecie miejsce, 1978 — miejse piąte-ósme, 1982 - ponownie trzecia lokata... (zp)

- Fot. R. Hetman

nie lubię, jeśli ktoś obcy wtrąca się do moich strojów, a zresztą ta sukienka jest za długa i zupełnie niemodna, nie powiesz, mama, że nie prosiłam cię o skrócenie i co? No właśnie. Więc rozumiecie teraz sami, co dla mnie znaczyły guziki jedynej wizytowej bluzki, którą... które poświęciłam w zamian dwudziestu złotych kary, jaką mi mama ciągle wymierzała. A to za to, że na prima aprilis powiedziałam pani Kociołkiewiczowej, że ma piękne...

- Pamiętam! - próbowała wtrącić mama, ale bezskutecznie.

- Sama wiesz, jak się cieszyła. To właśnie od pani Kociołkiewiczowej się zaczęło, bo ty zdenerwowałaś się i nie dopuszczając mnte do głosu kazałaś mi włożyć dwa złote kary do pudełka, chociaż już ukarała mnie dostatecznie pani Kociolkiewiczowa donosząc wam nie proszona o tym guzie Wacka, a wiecie, że należało się smarkaczowi... Co ja mówiłam? Aha... a ja właśnie nie miałam dwu złotych, bo całe kieszonkowe wydałam trzy dni przed piętnastym, a wy dostajede pensje pierwszego, a my, to znaczy Maciek i ja byliśmy bardzo szlachetni i cierpliwi nienatrętnie, a potem zaraz było mi potrzebne całe kwietniowe kieszonkowe, nawet musiałam zapożyczyć się u taty i wystawiłam mu pokwitowanie, choć machnął ręką, ale u mnie jak w banku, z pełnym i wyraźnym podpisem i datą, bo miałam bardzo ważne osobiste wydatki, więc skąd - głos Anny zabrzmiał goryczą - miałam wziąć coś innego niż guziki? A...

Tu moja siostra zamilkła, ponieważ zabrakło jej tchu. Owo zas „a” przepadło na zawsze, pokryte dokładnie dwoma harmonijnie wyszeptanymi „aa" rodziców.

- Aa... dlaczego... - zaczął tata i urwał:

- A... anno, na litość boską - zająknęła się mama i spojrzała z rozpaczą na tatę. Tata jako dżentelmen ustąpił jej pierwszeństwa w komentowaniu zajścia, ale mama straciła głowę i doszczętnie zbiła się z pantałyku.

Chrząknąłem.

- Sądzę - zdecydowałem się zabrać głos, ale nie dane mi było dokończyć.

- Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni — powiedzieli chórem, cała trójka. Że Anna, rozumiem, ale oni? Nie było to automatyczne, bo Agat zawstydzony spuścił oczy. On jeden, stojąc dwiema łapami po ich stronie (uczucie, któremu obcy jest obiektywizm), brzydszą część tułowia, tę z ogonem, sprawiedliwie postawił na mnie.

- Sądzę, znaczy myślę, nic więcej. - Nie dałem się tak łatwo wyrzucić poza nawias. - Anna działała w najlepszych intencjach i nie może być mowy o paleniu na stosie. Nic z przestępstwa.

Czarne słowo padto ciężko pod nasze nogi, drgnęliśmy lekko i zakryli je co prędzej najlepszymi intencjami i wyrozumiałością.

- To szlachetnie z jej strony - ciągnąłem dalej z taką powagą, na jaką mnie było stać - że poświęciła swą urodę i złożyła w ofierze uczciwości swój jedyny wizytowy strój.

Szlachetność, poświęcenie i ofiara spłynęły miękko na najlepsze intencje, przestępstwa leżącego najniżej już zupełnie nie było widać. Oddechy pełne ulgi zamgliły pokój, mój głos zmatowiał w tej mgle wyraźnie i było oczywiste, że w tej sprzyjającej atmosferze mogę bez przeszkód kontynuować myśl dalej.

- Anna jest w absolutnym porządku. Jasne, że niczego nie chciała ukrywać przed nami, skoro włożyła do pudełka swoje guziki. Sa jak podpis na wekslu, prawda?

Lekki niepokój i podejrzliwość, które widziałem w lewym oku taty jeszcze przed chwilą, zniknęły zdecydowanie. Odetchnęliśmy pełną piersią, wszyscy pięcioro, bo i Agat mógł wreszcie złożyć w jedną całość rozdarty wątpliwościami kudłaty tułów. Niebo nad naszymi głowami pojaśniało lazurowo.

Umorzyliśmy dług Anny. Granatowa sukienka zostanie podłożona... Nie? Moda c h y b a się zmienia. Ale guziki Bogu dzięki, wreszcie można przyszyć. Anna odeszła, otoczona ramieniem mamy; nad otwartym Sezamem zostało nas trzech - tata, ja i Agat.

- Postanówcie coś - rzuciła już zza drzwiami mama. - Ja z Anną tymczasem...

Zostaliśmy tedy, owym mimochodem rzuconym „postanówcie", wklepani w zakup ostatniego dla ciotki prezentu.

Nigdy nie kupowałem upominków dla ciotek - cudzoziemek. Dla ciotek w krajowym wydaniu też nie. I to za sumę czterystu siedemdziesięciu dwóch złotych. Pięćdziesiąt groszy mogłem sobie darować. Z miny taty widziałem, że również nie kupował. Nie pozostawało nam nic innego, jak udać się do babci. Chyba, że mama...

— Daj spokój - zgasił moją wątłą nadzieję tata. - Nie widzisz, że mama gotowa jest zrezygnować z podróży? Ma dość wszystkiego.

Miała, co do tego nie było od dawna wątpliwości.

Cdn.

55 ODCINEK

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

KOLOROWAŁA MARIKA ROSOCHACKA

WŁOŻYMY KASETĘ DO KOMPUTERA I MOŻEMY IŚĆ SPAĆ.

DOKĄD CHCESZ IŚĆ? TU SIĘ POŁOŻYMY.

CHRRR ZZZZZ

MINĘŁO TYLE GODZIN, ILE POTRZEBA...

CIP-TIP-CIP! TU KOMPUTER. CEL PODRÓŻY ZA 5 MINUT. POBUDKA! ZANURZAM POJAZD POD WODĘ.

WYNURZYMY SIĘ TUŻ PRZY WYSPIE I PONTONEM DOPŁYNIEMY DO BRZEGU.

dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 26 i 27 września

27 IX 1939 r. w oblężonej Warszawie, w przeddzień, jej kapitulacji obecni w stolicy członkowie Rady Naczelnej ZHP podjęli decyzję o przejściu Związku Harcerstwa Polskiego do konspiracji. Organizacja ta w okresie późniejszym przyjęła kryptonim Szare Szeregi. Szare Szeregi składały się z dwóch oddzielnie działających członów - Organizacji Harcerek i Organizacji Harcerzy. Dziewczęta szkolone były głównie w zakresie służby sanitarnej, łączności i służb gospodarczych. Ich stan liczebny, wg niepełnych danych, w 1943 r. wynosił około 5000. Harcerze - zorganizowani na wzór przedwojennej struktury - podzieleni byli również na trzy grupy: „Zawisza" 12-14 lat; „Bojowe Szkoły" 15-17 lat; „Grupy Szturmowe" - powyżej 17 lat. Najmłodsi zajmowali się głównie małym sabotażem, uprzedzaniem o aresztowaniach, a w czasie powstania przede wszystkim organizowaniem i obsługą poczty polowej. Stan liczebny Organizacji Harcerzy, wg niepełnych danych, w maju 1944 r. wynosił ponad 8000 członków.

27 IX 1939 r. - powołano pierwszą w kraju wojskową organizację konspiracyjną o nazwie Służba Zwycięstwa Polsce. W styczniu 1940 r. SZP przemianowana została na Związek Walki Zbrojnej, a w lutym 1942 roku na Armię Krajową.

Ponadto:

26 IX 1849 r. urodził się fizjolog rosyjski, laureat Nagrody Nobla z 1904. - Iwan Pawłow (zm. 27.II.1936 r.)

26 IX 1944 r. upadek Mokotowa w powstaniu warszawskim.

Cytat na dziś, i na jutro

...I będziem gmach budować
w harcerskim, twardym znoju
Otworzym w nim podwoje dla prawdy i pokoju.

I będzie Polska nowa, my będziem Polakami,
I stanie straż przed gmachem Szarymi Szeregami.

(hymn Szarych Szeregów, fragment,

Autor Tomasz Jaźwiński „Julek", lipiec 1943 r.).

UŚMIECH NUMERU

- WYOBRAŹ SOBIE — mówi do męża pani Mądralowa — nasze dzieci podarowały dziadkowi papugę, aby się od niego nauczyła mówić...

— I co?

— Nauczyła się... palić fajkę!

*

— MĄDRALA, powiedz nam — pyta nauczycielka historii — dokąd udały się wojska Jagiełły, gdy przeszły Wisłę?

— Wojska... no, tego., udały się... Już wiem! Do najbliższego lasu, aby wysuszyć odzież!

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 116 (4046)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne:
Andrzej Stamborski
Opracowanie techniczne:
Barbara Zając
Korekta:
Irena Ochrymowicz

Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego

Zam. nr 3454/G. N-26
Nakład 439 000



Maria Borowa

W ciemności dobrze się słucha. Nawet takich trudnych słów. Ale jak zrozumieć nieznane zupełnie Rafałowi rozterki Maćka, jego lęki niepewność pełną niedomówień nawet wobec Elżbiety, jej z kolei zuchwałość i to, że Jacek ochraniał tamtych dwoje przed nimi wszystkimi? Jak to wszystko - i przecież nie wszystko - powiedzieć Annie? Teraz, w dzień, kiedy nie można schować oczu, twarzy i rąk w ciemności? Anna nie pozwoli mu patrzeć w deszcz.

— Elżbieta... — zaczął po raz któryś. — Nie przeszkadzaj mi, Anka. Ja nie przerywałem Jackowi.

V

W pudełku było czterysta osiemdziesiąt dwa złote pięćdziesiąt groszy, kawałek brązowej nitki, trochę kurzu i sześć białych guzików z masy perłowej.

- Mało! - jęknęliśmy chórem. Cała Komisja jak jeden mąż. Jęk był nielogiczny, bo z punktu widzenia wyższych zasad etyki, moralności i pedagogiki powinniśmy podskoczyć do góry ze szczęścia.

- Mało - dodał na bis tata i natychmiast podniósł głos o ćwierć nuty. - Hej! - omiótł Komisję podejrzliwym wzrokiem. - Odkąd to guziki, choćby z masy perłowej, są walutą obiegową w naszym państwie, co?

- Odnikąd - bąknęła ze skruchą mama i, jako że Wielkiemu Skarbnikowi nie wypada wyrażać się nieściśle, niepewnie potarta czoło, co znaczyło, że jest na dokładkę i zdenerwowana.

- Właśnie. - Tata wspaniałomyślnie przeszedł do porządku dziennego nad formą maminego nieprecyzyjnego wyjaśnienia. Udaliśmy, że nie dostrzegamy tego nowego dowodu faworyzowania naszej Ani Kochanie, ale udajemy od lat i nabraliśmy wprawy.

- A skoro nie są - ciągnął dalej tata - to co one tu robią?

Milczeliśmy. Ja i Anna bardzo zgodnie i dokładnie; Anna z cichym świstem w nosie i pomrukiem gdzieś w okolicy trzonowych zębów, ja ze wzrokiem utkwionym w nieszczęsnych guzikach.

- Maciej, Anna! - powiedział grubym teraz głosem tata.

- Amhm... — zamamrotałem i Anna spojrzała na mnie z odrazą.

- To moje guziki - oświadczyła łagodnie i bez drgnienia powiek wytrzymała spojrzenie taty. - Moje własne i bardzo mi potrzebne odkąd moja j e d y n a biała bluzka z kokardą jest moim j e d y n y m wizytowym strojem i odkąd poświeciłam sięęę... odtąd szczególnie, czego nikt nie zauważył niestety i chodzę na wszystkie uroczystości szkolne, do teatru, w ogóle wszędzie! Z wami też i nie tylko! W starej ohydnej granatowej sukience, której nie cierpię i która jest zupełnie beznadziejna... Tak, nie cierpię, mamo! Właśnie odtąd, kiedy ciocia Iwony powiedziała, że jak to dobrze, że noszę granatowę sukienkę, bo granatowe sukienki są takie niewinne i najodpowiedniejsze dla dzieci (tu Anna pogardliwie prychnęła) w moim wieku. (Prychnięcie zastępiłł pełen dystyngowanej ironii uśmiech). A przecież mama wie - Anna zwróciła się, widocznie przez pomyłkę, w stronę taty - że nie lubię, jeśli ktoś...

- ...jeśli zaraz nie zamilkniesz - tata skwapliwie skorzystał z okazji dowiesz się, czego ja nie lubię, a nie będzie to...

- jeśli ktoś, mówię - ciągnęła dalej z godnością Anna - jest niewinnie posądzony, ma prawo obrony. To znaczy nie chciałam zrymować, samo wyszło, ale wszyscy wiecie o co chodzi, więc proszę cię, tato, nie przerywaj mi, a nie jak Joannę d'Arc na stos, a potem, że bohaterka, więc

Dokończenie na str. 7